

Graybner Stanisław

PAN WYRĘBA

Od kolei do Klonowie liczą opętanych mil pięć, co znaczy, że
trzeba jechać
cztery, a piąta dojeżdżać. Na dzisiejszą komunikację, to już
świat zabity
deskami, zwłaszcza, że chcąc się tam dostać, trzeba góry,
parowy i wertepy
przebyć, przez kilka rzek i strumieni w bród się przeprowić, a
to wszystko
stanowi karkołomne zadanie, Sanoczanom nie obce.
A jakaż żmudna ta droga! Oto na zahamowanych kołach
spuszczasz się ze stromej
góry, noga za nogą, dlatego, aby zaraz potem piąć się jeszcze
wyżej. I tak
ciągle, zdaje się bez końca. Nareszcie po kilku godzinach,
zmęczone konięta
nowego szczytu dotarły. Chwała

Bogu! Rozglądasz się. Gdzieś na dole drzewa i białe kominy
być muszą. Wierutna
bajka! Przed tobą nowych gór szczyty, nowych zarośli i
wąwozów panorama, tyle

piękna w swej dzikości, ile zniechęcająca do podróży.

Klonowie jak nie ma, tak
nie ma.

Nie zazdroszcząc mieszkańcom takiego kraju o owsianej
kulturze, kręcisz i
obracasz się niecierpliwie na wygniecionem siedzeniu,
wreszcie dla skrócenia
czasu drzemać usiłujesz — nadaremnie. Ale nakoniec wózek
zwraca się szparko z
bitego, cesarskiego gościńca i wtacza na wążką, niby głębokie
koryto, w
gliniastych ścianach wyżłobioną drożynę. Konie parskają.
Snać stajnię czują.
Gdzież Klonowice? W istocie bliżutko, jeszcze tylko jedna
góra, dostań się na
nią, a wnet zobaczysz w dolinie, po nad brzegami bystrej, jak
wąż wijącej się
rzeczki, grupę wyniosłych topól, gospodarskie budowle,

na podmurowaniu szalowany dwór, wśród śliwin, grusz i
jabłoni. Na drugim planie
widoku, tuż za sadem, ciągnie się sznurek niziutkich, w ziemię
wrosłych chat
szarych, na których straży, na lekkim wzgórku, z cmentarzem
drewniana
cerkiewka.

Niech cię nie dziwi, że dwór i wieś jakby jedna, całość
stanowią. To po dawnemu,
z tych czasów jeszcze, kiedy w Gralicyi bliżej bywało od pana
do kmiecia,
aniżeli później od kmiecia do pana.

A więc nareszcie jesteśmy w Klonowicach.
Przed dworem, na schodach ganku, stoi jak dąb wysoki, o
szerokich ramionach
mężczyzna, siwych oczu, szpakowaty, krótko ostrzyżony, bez
brody, ale za to z
wąsem potężnym. Na sobie ma tylko kamizelkę 'z rękawami i
guzem u szyi, pas
czarny z klamerką na biodrach,

spodnie w buty, słomiany kapelusz, w ręku laska z
oprawionym szpadelkiem.

Tak ubiera się pan Wyreba, po domu, przy pracy.

W tej chwili przykłada do oczu szeroką, opaloną dłoń i z pod
niej patrzy w

przestrzeń, w kierunku Zachodu.

— Czysto, na pogodzie — rzecze do siebie.

Prognostyk to nieomylny, bo oto promienie tonącego za
górami słońca, oblewają

szyby ganku purpurą, niby tłem bogatem do obrazu pięknej,
typowej postaci

szlachcica, wyrosłego na ziemi Sanockiej.

Czy aby w tem nie ma ironii? Wszakże zamiast ram złoconych
dokoła portretu,

czerwienieją tylko żywiczne jodłowe słupy ciosane, ganku
podpory, a zamiast

bogatego stroju, widzisz prosty kaftan, rzemień i kij sękaty.

Ale nie. Tu słońce

życzliwie pozdrawia strzechę rol-

nika, co z wiarą w Boga i przyszłość w pocie czoła orze szmat
ojcowskich
zagonów, za ledwie strzęp z szerokich dóbr, na jakich
Wyłębowie z dziada
pradziada w Sanockiem siedzieli.
Pan Marek Wyłęba jest człowiekiem dziś wprawdzie nie
bogatym, ale rządnym,
powszechnie szanowanym i uznanym za rozumnego, słowem,
okolicznym luminarzem.
Bo też posiada wszystkie zalety, ba, cnoty obywatelskie.
Oszczędny, dobry
gospodarz, troskliwy ojciec rodziny, do usług prywatnych i
publicznych zawsze
gotowy, to dosyć. Ma on tam pono swoje dziwactwa i
przesady, ale nie jego
przecie w tem wina.
Klonowice leżą na przedpieklu. Sam pan Marek twierdzi, że
trudniej mu spotkać w
swych progach miłego gościa, aniżeli kudłatego niedźwiedzia.
Ale jak

żaden z jego protoplastów, tak i on nie zatęsknił do szerszego
świata. Nie mówić
o Paryżu lub Wiedniu, jeżeli we Lwowie
i Krakowie bywało się bardzo rzadko, raz na lat kilka
za ledwie. Stosunki
sąsiedzkie w górach nie łatwe. Zimą nie przebrniesz zasp
śnieżnych, na wiosnę,
gdy rzeki wyleją, ani mowy ruszyć się z domu, a w lecie
roboty Irak, nawet nie

godzi się koni odrywać. Tak więc trzeba było samemu sobie wystarczać.

I tu szuać owej dziwaczności, rzecz można, oryginalności pana Marka Wyreby.

Oberwane odłamki skał spadają w bystre potoki, a ztąd wraz z innemi, pędzi je woda do rzek, coraz dalej a dalej. W takim ruchu, bezkształtne bryły, szlifując się wzajem o siebie, przeistaczają się w okrągłe, gładkie kamyki. Towarzyskość jest wodą bieżącą, która pcha ludzi wszystkich razem naprzód, i nie tylko zmusza do przybierania form okrągłych, ale nadto,

wyrównywa ich zwyczaje, zasady i przekonania. Jednostka oderwana, sama w sobie,

pod wszystkimi temi względami oderwana zostanie.

Pan Marek, obok cnót swoich, był odłamkiem Sanockiej skały, o kantach ostrych,

któremu też wielce przydałaby się taka podróż podwodna z Sanu chociażby do

morza.

Słońce zaszło. Na śladach jego jaskrawych, rysują się jeszcze wyraźnie

wierzchołki gór, lasami gdzieniegdzie zarosłych.

Na wsi, to pora wieczornego obrządku.

— Pańskie oko konia tuczy — powtórzył sobie jak zawsze w takiej chwili p. Marek

i, za schodzacemi z pola stadami dobytku, na folwark pospieszył.

Przy nim wiązano krowy u pali, a każda miała swoje
nazwisko, że zaś

zwykł był nosić przy sobie bryłkę soli, i dawał ja lizać
ulubieńcom, więc też
teraz nie jedna łeb odwróciła i rykiem dopominała się
przysmaku.

— Nie mam Siwucho, jutro, jutro Wałkowa — tłumaczył się
gospodarz i krówki po

szyjach klepał. Wnet dziewczki pod okiem pana doić zaczęły.

— Nastąp! — woła jedna. — Bodajes! żeby cię wciurnaści!

— narzeka druga, i

stołeczek w gnoju ustawiwszy, skopek pod pełne wymię

ustawia. Strzykanie mleka

słychać po całej oborze.

— A dobrze mi wydając dziewczuchy! — gromko zawołał p.

Marek, poczem widząc, że

wszystko w porządku, do owczarni pospieszył.

Tu znów własnymi rękami pomagał owsiankę w kozły

zakładać, bo noce już dłuższe,

rankiem rosy, niechże więc owce mają czem zęby przecierać.

Z kolei tu i tam zajrzał, zburczał chłopaka, że źrebcom
pozwał pchać się jeden

przez drugiego do szopy, wreszcie z karbownikiem o rannej
robocie radził, aż po

tem wszystkim ku domowi podążył.

W tej chwili, przed dwór zatoczył się wózek. To pan Szymon, daleki krewny, rezydent i totumfacki, wraca z miasteczka, dokąd jeździł. za sprawunkami, po gazety i listy. Rześki, ruchliwy starowina. Jeszcze kości nie wyprostował po uciążliwej drodze, a już dobrodziejowi zdaje sprawę z poleceń, przyczem z parobkiem wybiera paczki i butelki ze słomy. Ale to nie delikatesy, koniaki, ani likiery.

— Siny kamień do pszenicy — wymienia p. Szymon — bretnale dla cieśli, olej, terpentyna, a tu waksztof dla jegomości. Nadeszła dziewczka i sprawunki do pokoju zabrała.

— A. cóż tam z poczty ? — zapytał wreszcie p. Marek — gazety są?

— Bodajże Cię Deus sekundował, zapomniałem co najważniejsze — i Szymon z zanadrza skórzaną torebkę wydobył, a podając p. Markowi — toć list jest od jejmości — dodał.

— Tak że mi gadaj — rzekł tenże, słomiany wdowiec od dwóch lat — pójdziemy czytać. Hej, baby, światła! — huknął i z Szymonem do pokoju poszedł.

Pani Wyrębina, to zacna, rozsądna, kobieta, najlepsza żona i matka. Cicha, uległa despotycznemu nieco mężowi, zdaje się nie mieć własnej woli. Ale w tem

częstokroć leży subtelna umiejętność płci słabszej. Nie
przeczy, ale prosi,
wreszcie ustępuje, a jutro czeka sposobnej chwili, w którejby
mogła żądanie
słodziutko, powtórzyć; nigdy nie gniewa się i nigdy nie grozi,
ale cierpliwie,
stopniowo —

jak kropla wody kamień wydrąży, tak ona — zdobywa
ustępstwa na stanowczym, nawet
upartym małżonku. A tej właśnie stanowczości i uporu
posiadał p. Marek dozę nie
małą.

Wyřebowie mieli troje dzieci: Józefa, Janinę i Stanisławę.
Wychowanie ich
dostarczało nieskończonego tematu do nieporozumień między
rodzicami. A syn był
pierwszym, na którego losy długo nie mogli się zgodzić ojciec
z matką i
odwrotnie. Kiedy chłopiec skończył szkoły w Krakowie, p.
Marek postanowił zabrać
go do Klonowie i pod swoim okiem gospodarstwa przyuczać.
— Niech wczesnie bierze się do tej roboty — mówił — do
jakiej w jego wieku brali
się ojciec i dziadowie. Na teraz będzie mi pomagał, a kiedy z
pola zejde, on
głowę rodziny matce i siostróm zastąpi Rzecz to nie łatwa,
której też ja tylko
dobrze nauczyć go mogę.

Nie na razie, ale w chwili właściwej, delikatnie pani Kazimiera zwracała męża uwagę.

— Mnie się zdaje Mareczku, że to nie będzie dobrze.

Klonowice fortuna skromna, marny trochę interesów. Skoro przyjdzie rozdzielić ja na trzy części, nie wiele dostanie się każdemu z naszych dzieci. Józio musiałby spłacać schedy siostrom, a czymże spłaci?

— Hm, czym? — mruknął p. Marek — ożeni się.

— Na to z góry liczyć nie można i — dodała cichutko — nie godzi się liczyć.

Jeżeli się chłopcu nic odpowiedniego nie trafi, musiałby się sprzedawać.

— Tak zawsze szlachta robiła i tem stała — głosem stanowczym zdecydował mąż.

— A przecież za mną nie wzięłeś prawie żadnego posagu.

— Bo Klonowice było dosyć na dwoje.

— Ale Józiowi nie wystarczą na troje. Dzieliło i zmiejszało się fortunę w waszym rodzie przez setki lat, aż dziś przyszło do tego, że niema już czem dzielić.

Przystanął p. Marek i oczy wytrzeszczył. Uderzyła go ta uwaga, jak gdyby zupełnie nowa dla niego. Uśmiechnął się.

— A więc podług tego, jak mówisz Kaziuniu, to szlachta obecnie musiałaby

dzieci topie jak kocięta, co? Żeby się nie mnożyły za nadto.
— Topić nie, żartujesz Mareczku, ale należy uczyć dzieci i
ułatwiać im
stanowisko, pozwalające obstawać własnymi siła-mi, zamiast,
oglądania się na
skromne resztki ojcowskich majątków.
Kroczył po pokoju p. Marek i węża szarpał. Wiedział on
dobrze, że to wszystko,
co żona mówi, jest zapowiedzią wytrwałej i długiej obrony jej
poglądu. Za
wygrane jednak nie dawał.

— Już to ja widzę — ciągnął — że chciałabyś ze szlachcica
zrobić jakiegoś
kauzyperdę, gryzipiórka, albo służalca. Padam do nóg.
Długo trwały podobne utarczki, aż wreszcie p. Marek mięknąc
począł. Szukając
jednak koniecznie sposobu ocalenia swych ultra-
konserwatywnych zasad, postanowił
bronić się samym Józefem.
— Niech on rozstrzygnie tę sprawę — mówił do Kaziuni.
Pewnym był, że młodemu
chłopcu uśmiechnie się gospodarstwo, że przełoży swobodę i
stanowisko następcy
ojca w Klonowicach nad służbę i zależność. Być może, takby
się stało, ale pani
Wyreńbina nie omieszkała wpłynąć na syna, kiedy na wakacje
do rodziców zjechał.
Wkrótce potem Józef Wyreńba, za protekcją wysoko
położonego krewnego pani

Kazimierzy, otrzymał wcale przyzwoitą jak na początek posadę w jednej z najważniejszych instytucji finan-

samych w Krakowie, z zapewnieniem, że jeśli młody człowiek zdolności i dobrej chęci okaże, wówczas będzie miał do kariery i stanowiska drogę ułatwioną życzliwie. Jeżeli będzie żałował — mówił — jam temu nie winien. Zrobiłem swoje.

Wyřebianki, to hoże i ładne dziweczki. W stosunku do nich p. Marek również na

swój sposób pojmował pedagogję. Od pieluszek, aż do dłuższych sukienek, matka

nieustannie coś dla nich wypraszać, wywalczać musiała.

— Kołyska jest głupim wymysłem, wygodnym dla ospałych nianiek — mawiał — ona to

sprawia, że się dziecku w głowie przewraca. I Wyřebianki nie znały kołyszek.

Ospy szczepić nie trzeba — powiedział kiedyś Dietl — wiec ją pani Markowa, w

tajemnicy przed mężem kazała dzieciom zaszczepić. — Do dziesięciu lat moje córki

muszą chodzić boso po domu, po piasku i rosie, tym sposobem zahartują się.

— Ależ Mareczku — tłumaczyła żona — panny duże nogi mieć będą.

— O toż mi chodzi. Kobieta stworzona na matkę, więc niechaj ma stopy szerokie,
bo takich właśnie potrzebuje — nie raz i nie dwa po dziewięć miesięcy z rzędu.

Śmiechu warte te wasze kalectwa na jakichś tam sążniowych obcasach. To też

kiedyś u sprowadzonych ze Lwowa bucików, własnoręcznie poodnibywał obcasy

toporkiem, a Janka i Stasia, zanim moda nadeszła, już angielskie trzewiki nosić

musiały.

Panienki rosły. Starszej należał się gorsecik.

— Wybij to sobie z głowy Kaziuniu — oponował p. Marek — garbatej nie pomogą

sznurówki. a gładka po lica ma chować okrągłe kształty pod jakieś tam żelaza

czy fiszbiny?

W swoim czasie małżonka wystąpiła z francuzczyzną i śpiewem.

— Głupstwo — krótko i węzłowato zawyrokował mąż — pokażcie mi francuzicę,

któraby się uczyła polskiego języka. Tryle wyciągać po włosku? Dziś rano Janka

śpiewała „Kiedy ranne” i dalibóg dobrze było, aż echo niosło po sadzie

— Tańczyć panny nie umieją -- skarżyła się matka.

— Bo też nie piruetem, ale ciepłym sercem dziewczyna chłopcu podobać się powinna — apodyktycznie odpowiadał ojciec.

Lata całe Kaziunia ustępowała mężowi, z początku, młodsza,
mniej doświadczona,
ślepo wierzyła w rozum i radę jego, wreszcie nie miała odwagi
sprzeciwiać się
woli człowieka, którego nad wszystko kochała. Ale opatrzyła
się z czasem, że ta
wola jest często wynikiem przesądów i zacofania, że panny
tak puścić w świat
znaczyłoby tyle, co narazić je na pośmiewisko i upośledzenie.
I tu już poczęła
się
walka uległości dla męża z miłością córek,

z obawą o przyszłość ich. Panienki były przystojne, świeże i
zdrowiuteńkie
poduczone od proboszcza i guwernantki, ale zresztą tak mało
wypolerowane, że
matka słusznie truchlała, jak je ludziom pokazać, I przyszedł
czas, w którym
zapytała się sama siebie co począć? Jedyna rada wybrać się na
parę lat do
Krakowa, a tam, po za okiem ojca, wykształcenie ukończyć.
Przewidywała, że pan
Marek nie będzie chciał słuchać o tem, że wystąpi z całą
falangą zarzutów. To
jednak nie zraziło jej znów, równie jak z synem, pokazała owo
mistrzostwo, z
jakiem powoli, łagodnie, zdobywając coraz to szersze
ustępstwa, uzyskała
wreszcie zezwolenie małżonka na swój projekt i wywiozła
panny na edukację, nie

zdradzając się w Klonowicach, jaki jej zakres nadać zamierza.
Dziś właśnie z rana p. Marek obliczył, że już dwa lata dobiega
od chwili kiedy
go odjechała żona z córkami. Te-

sknił ojciec za rodzina, a tęskni! tembar że przez ten przeciąg
czasu nie zdą
Wybrać się do Krakowa. Gospodarskie Kłopoty, droga nie do
przebycia, zresztą
obowiązki publiczne, zawsze coś na zawadzie stawało. Co
prawda, była to tylko
ociężałość i przesadna drobiazgowość gospodarska. Jakże
ruszyć się z domu, kiedy
podorują ugory? Toż to podstawa roboty. Orka na zagon —
rzecz kunsztowna, siew —
wszystko, a młocka? bagatela, kiedyż czujniej pilnować
trzeba? I tak bez końca.
Gdy już rok minął, p. Marek tłumaczył sobie, że tylko drugie
tyle poczeka i tem
serdeczniej rodzinę w Klonowicach przywita.
— Podróż do Krakowa, do nich — tłumaczył się przed
Szymonem — to przyjemność, a
pilnowanie gospodarstwa, obowiązek. Ten przedewszystkiem,
zwłaszcza, że z
oszczędnością złączony.

Teraz jedna dziewczka przyniosła lampę, a za nią zaraz druga
ustawiła dzieżkę
zsiadłego mleka i dymiące ziemniaki. Jak rok długi, codzienna
to w Klonowicach

wieczerza.

— Niech jegomość jedzą bo wystygnie — mówiła Rynka.
A trzy służyły Marysie we dworze. Pan, zwolennik lakonizmu
w stosunku do służby,

wołał na nie Ryś, Maryś i Rynka — przez skrócenie.

Ale mimo wezwania, nie kwapił się do mleka p. Marek. On
teraz okulary, nałożył,
bo zaczynał już szkieł przy lampie używać, i list od żony
czytał uważnie.

— Jedz, jedz Szymonie, głodnyś pewnie po drodze —
przerwał.

— Poczekam — odparł tenże — bom i ja ciekawy — i
starowina śledził uważnie twarz
czytającego. Dziesiątki lat przebywając w domu krewniaka,
przywiązał się do jego
żony i córek.

— No jakże tam, zdrowi aby?

— Mater dei! — zawołał Marek.

— Jezus Marja, czy co złego? — Szymon zerwał się z krzesła.

— Nie, nie — uspokajał pierwszy — co to dziś mamy,
wtorek? a więc przyjeżdżają,

w czwartek, słyszysz stary, przyjeżdżają, moja Kaziunia i
Kruszyny moje! Toż to
będzie witania.

— Chwała ci Boże — mówił Szymon —
dwa lata prawie jak wyjechały.

— Oj tak tak, a po co to było?

— Już tam jejmość wiedziała co robiła, roztropna kobieta

— A no to się pokaże — wtrącił Marek — niech tylko będą.
Co prawda boję się, czy

się teraz z pannami dogadam, strasznie mądre być muszą.
—Ot, gadanie, gadanie.

— Ha, trudno się dziwić, toć że dziś
tyle szkapie w cyrku więcej rozumu batem w łeb kładą, niż
dawniej szlachcicowi

na trzech folwarkach. Wszystko mądre okrutnie. Ale, kiedy
jądą, to już kwita,
a teraz do ziemniaków, bo zdębieją — zakonkludował
gospodarz, poczem obydwaj do
stołu zasiedli i znakiem krzyża świętego wieszczą poczęli.

Od rana ruch w Klonowickim dworze. Pani i panienka
przyjają, Ze świtem
wyprawiono do kolei koczobryk w cztery pól — paradne
konie, z dwoma ludźmi
na koźle. Poszedł i wóz po rzeczy. Ryś, Maryś i Rynka
porządkują a wietrzą
pokoje, pod okiem pana. Za dworem Szymon stoi nad
parobkiem, który wypycha
sienniki świeżem, jak ruta zielonem, jak balsam woniejącem
sianem. To — zdaniem
ojca — mądre, zdrowe a najtańsze posłanie.
— Równie głęboko Macieju! żeby mi dołow nie było —
upomniał stary — a nie

kładź że gamoniu badyli, czy nie wiesz, że to kłuje? — a że
gruboskóry Maciej

nie dość subtelnie tę rzecz pojmował, więc oburącz jął siano
przebierać,
pocziwy.

Narozny, wesoły pokój, a obok mniejszy o jednym oknie, w
ostatnich czasach kazał
p. Marek żydkom z miasteczka wytapetować, pierwszy
niebieskiem, dla dziewcząt,
drugi dla Kaziuni zielonem obiciem. Miała to być s i u r p r y
z a. Matka skarży
się, że wzrok traci na starość, więc kolor zielony najlepszy. Tu
właśnie Maryś
rozpaloną żelazną łopatkę przyniosła, a jegomość nań ocet
nalewa. Wykadzić
trzeba. Już i sienniki gotowe, Szymon więc teraz z klapką
ugania i głodne, bo
zamknięte w niezamieszkałych pokojach, muchy wybija.
Włodarz przed gankiem sypie
piasek żółciutki, a za nim ogrodnik w esy floresy tatarak
rozzuca. Ale, jakby
nie w porę tej misternej robocie, węgierskim wó-

zkiem, parą wcale przystojnych gniadoszów, Zygmunt
Grójecki, sąsiad z Buczyna
nadjeżdża. Krzywią się ogrodnik i włodarz, bo ślady kół
zostały na piasku,
rysunek tataraku zepsuły końskie kopyta. Usłyszał turkot p.
Marek.

— A tam kto? od pociągu przecie zawczasie— i do ganku
pospieszył — Bywaj, bywaj
panie Zygmuncie — zawołał, witając młodego sąsiada, który z
uszanowaniem ramię

starszego uściskał. — Czy wiesz, że moje baby dziś przyjeżdżają ? Sala u nas, ot patrzaj, tatarak sypią, bo na makaty i dywany nie stać.
— Słyszałem, słyszałem — mówił młody, i nie mogłem odmówić sobie powinszowania panu tego powrotu. Mój Boże tak dawno ...
— Zateśniłeś co? — i stary rękę położył na ramieniu Zygmunta,

— Niezmiernie się ucieszyłem, a mówię tak otwarcie, bo liczę, że mi pan tego za złe nie weźmie.

— Uchowaj Boże, cieszę się, że cię wdzę bardzo cieszę. Poczekasz, aż przyjadą, co? na obiedzie z nami zostaniesz.

— Jeżeli wolno — mówił Zygmunt z cicha.

— Co tam politykujesz, powiedz krótko, ciekawys Jacelci?

— Gdy byż tylko ciekawy

— No, myślę, że i ona ciekawa, tobie dwa lata przybyło, a ona, wtedy dzieciuch prawie, dziś pannica, dziewiętnasty rok musiała się rozrosnąć. Jakieś radosne promyki strzelały z oczów Zygmunta, ale nic nie rzekł, jeno się do ręki p. Marka schylił, ucałować pragnął. Ten ją zręcznie usunął, natomiast młodzieńca ku sobie ramieniem przygarnął.

— Dobryś ty chłopiec, dobry — mówił a Bóg da to i wszystko dobrze będzie. W

pokojach rwetes, porządki — dodał — pójdziemy do stodoł,
rychlik mówią, I
poszli. Różnią się ich myśli w tej chwili, a przecież garną
starego z młodym do
siebie, sercem ojca i sercem kochanka — dla jednej.
Buczyn, wieś intratna, leży o godzinę drogi Klonowic i jest
własnością Zygmunta
Grójeckiego, którego nieżyjący już ojciec z p. Markiem
przyjaźnił się blisko a
szczerze. Później na syna spadała ta sama życzliwość
sąsiedzka, i słusznie, bo
ten był pod każdym względem porządnym człowiekiem. Na
wsi osiadł i gospodarzył w
Buczynie, skoro taka była wola ojca, ale snad na to nie oglądał
się w szkołach,,
bo wydział prawny na uniwersytecie ukończył. W ostatnich
latach, między nim a
Janiną Wyrębianką poczęło kiełkować uczucie serdeczniejszej
przyjaźni, o ile je
mo-

zna tak nazwać u młodych. Zauważyli to rodzice dziewczyny i
przywidywali
następstwa, a raz nawet matka interpelowała ojca w tej
sprawie.

— Jeżeliby miała być taka wola Boża Kaziuniu — mówił
tenże — to namby się chyba
nie godziło mędrkować. Zygmunt chłopiec zacny, nie magnat,
ale i nie biedny, a z
rodu karmazyn. Ja ci się tam schylać przed byle ciura, nie
lubię, a przecież gdy

patrzę w nasze i Grojedzkich drzewo rodowe, to u nich
znajduję, (tu zniżył głos)
jeszcze dawniejszych senatorów z miecza i kądzieli. Że on
chciał się na jurystę
promować, to mniejsza, boć w końcu woli nieboszczyka uległ
i na ojczystem
zagonie osiadł; grunt w tem, że krew stara i czysta, a tyle to
człowieka pani
matko. Zupełnie jak z koniem. Byle szkapa, po owsie w pół
drogi ustanie, a
rasowy, nawet po sieczce rwie naprzód, że na postrakach jak

na stronach grać możesz. Jeżeli padnie, to chyba dopiero u
mety.

Nie sprzeciwiała się Kaziunia, ile, że sama wielce ceniła
Zygmunta. Że jednak
przed dwoma laty Janina była na zamążpójście za młodą,
przeto rodzice nie
liczyli się zbyt skrupulatnie z objawem skłonności
Grójeckiego. Jeszcze czas na
to. On jednak nie zasypiał sprawy. W stosunkach sąsiedzkich,
jako częsty
bezceremonialny gość, przy większej na wsi, aniżeli w
miejskich salonach
swobodzie, miał niejedną sposobność dostrzeżenia tlejącej już
iskierki w
serduszku dziewczęcia. A któryż młodzieniec nie pragnąłby
takiej iskiej
rozdmuchać, w płomień rozpalić? Więc na ławeczce wśród
bzów i jaśminów, w sadzie

gdy Janka na sok rwała porzeczki, to znów w lesie na
grzybach albo poziomkach,
wszędzieszeptał jej do uszka słowo kochać ze wszelkimi
odmianami, aż ją
wreszcie całej kon-

jugacyi dokładnie wyuczył. Wszakże nie bronili rodzice.
Przed wyjazdem do Krakowa, młodzi zawarli pacta.
Urzędownie nie wiedziano o
nich.

W tej chwili p. Marek z Zygmuntem stoją w prochu i kurzu i
przyglądają się
robocie, jakiejby nikt nie zrozumiał nie tylko w Saksonii lub
Flandryi, ale już
nawet o dziesięć mil od Klonowie. Oto sześć dobranych
dziewek, gdyby karjatydy,
zaprzężonych do dyszli młocarni, obracają się w koło. A
maszyna to nie podobna
do innych tego rodzaju. Kierat drewniany, tryby i panewki
drewniane, cepy
drewniane. Kawałka żelaza, ani jednej śrubki w całej
młocarni. Cieśla, stolarz,
kołodziej, słowem mtejscowi technicy, sporządzili ją pod
dyрекcją p. Marka — i
dobrze. Tłomaczóno mu wprawdzie, że z tem tylko
bałamuctwo i żmuda, że
Behrnowska maszyna zmłóei w trzech dniach

to wszystko, czemu taki piastowski zabytek przez całe
miesiące nie rządzi, ale
on przy swoim obstawał.
— Grotówki z garści nie należy wypuszczać — mówił — co
ja tam będę Niemcom
mojemi pieniądźni za maszyny kieszenie napychał. A czas?
czy mi to pilno?
Dziewki pęczak jedzą, jęczmienia chwalić Boga nie brak,
niechże drepcą w maneżu,
zamiast coby miały siedzi z założonemi rękami, albo co
gorzej, opić się po
kątach.
Krytykowanie tego systemu nie wypływało z roli Zygmunta.
Ujął garść owsa
przesypując z ręki do ręki wydmuchał, pochwalił i poszli
dalej.
Pan Marek lubił przy sposobności popopisywaó się swem
gospodarstwem, a
szczególniej żywym, ulubionym dobytkiem, A nie było ani
jednego kupnego
zwierzęcia w Klonowicach, wszystkie własnego chowu. Na
odwrot unikał sprzedaży
tych

drugich dzieci, jak je nazywał. Wybrakowanego barana,
starego wołu czy krowę
zjadano na miejscu. Koń miał u niego najwyższy przywilej.
Niezdatnego do roboty
dawano zwykle jednemu z miejscowych chłopów, nigdy na
sprzedaż. Zdarzyło się
raz, że obdarowany odmówił przyjęcia klaczy weterankr.

— Despektu ci ja Wielmożnemu Dziedzicowi nie zrobię —
mówił kmieć stary — i
śkapy żydowi, jak Onufer, na skórę nie psedom, ale sam ani
paśnika, ani siana
nie mam.

Pan Marek wyznaczył siano i zgoniny, które chłop miał dla
klaczy aż do końca jej
żywota pobierać.

— W Klonowicach się urodziła, w Klonowicach spracowane
kości niech złoży —
mówił. Bo wszystko, co klonowickie, uważał jako część
swego ciała, duszy, siebie
samego. Jeżeli to było dziwactwo, należy mu je wybaczyć. To
pewne, że Klonowi-

ce nie przejdą w obce ręce za życia Marka Wyręby.

Otóż i teraz gospodarz oprowadzał gościa po oborach i
stajniach, aż wreszcie
puścili się na folwark na nowe oziminy.

Zygmunt szedł chętnie, zdań i uwag doświadczonego rolnika
słuchał uważnie, ale

mimo woli, ku lasowi na górze oglądał się co chwila. Tam, od
cesarskiego

gościńca, wije się wąwozem dróżka do dworu. Młody sąsiad
myślał o gościach z

Krakowa.

— Bo to widzisz mój chłopcze — mówił do niego p. Marek, a
byli już het w polu —

ze mnie się śmieją, że orzę w czteroskibowe zagony i gęsto
wybrzdżam, Wy to tam

młodzi, chcecie zmusić nasze zimne ziemie do płaskiej orki,
dajecie sobie jakimś
Rosenberg-Lipińskim głowę zawracać. Ot, spojrzysz no na ten
klin, dobrze jabym tu
z płaską uprawą wyglądał.

Młodzieniec potakiwał, a okiem po za siebie zerkał.

— Przyjrzyj się tylko, jak woda szuro-wała tym przegonem.

Czy to nie dowód, że
potrzebny?

— Jada! — Zygmunt teraz .zawołał.

— Co, gdzie? — nie spostrzegł się na razie p. Marek.

— Panie jada z Krakowa — wołał tamten, nie tając radości —
o tam pod lasem.

— Jak mi Bóg miły prawda. Babina moja, kruszyny kochane!
Ale coś wcześniej,

Mateusz jak widzę nie żałował bata, zmachał pewnie koniska.

No, na dzisiejsze

święto, niech go tam. A teraz duchem chłopcze, bo się
spóźnimy, a byłby wstyd.

Mój Boże, dwa lata...

Zbyteczna to była dla Zygmunta zachęta. Gdyby mógł, od
gołębia pożyczyłby
skrzydeł.

I obydwaj szparko do dworu zmierzali, młody przed starym
dwoma krokami. Marek
przyciężki podążał, zdejmując od czasu do czasu kapelusz i
obcierając pot z

czoła.

A tam na górze, pod lasem, rozległ się już dwukrotny trzask z
bicza, czwórka

mknie rażno ku wrotom otwartym i sercom otwartym. Tych
bo tu spora gromadka.

Szymon na czele, stoi pod gankiem i niecierpliwie wzrokiem
p. Marka szuka, dalej

dziewki z szafarką i czeladź cała. Co żyło we dworze,
wyległo.

— Jada, o jada, to ci Mateusz zagania — szepnie Maryś do
Rynki.

Toż stary, jeszcze p. Marka kawalerski, wąsaty woźnica,
dumny z funkcji, jaką

pełni w tej chwili, aż się uniósł na koźle, by z większą
fantazyą z bata na

wiwat wystrzelić. Okracz lejcowe wplasały w dziedziniec.

A na.z pan gdzieś się zadział — karbownik zauważył.

Ale pan Marek z Zygmuntem, od guw porę dworu dopadli.

Jeszcze Kaziunia nie zdążyła stanąć na tatarakowy kobierzec,
kiedy ją mąż

stęskniony porwał ze stopni powozu w szerokie ramiona.

Jak makiem zasiał, ucichło teraz wśród Klonowickich
mieszkańców. Tam tylko, w

ich objęciach, słyhać serdeczne uciski i szeptane półsłowa,
gdyby odmłodniałego

mężczyzny, a odpowiada im łkanie wzruszonej kobiety.

Jesteście, nareszcie jesteście, Kaziuniu moja!

— Marku, Mareczkul — I znów uściski. Kolej przyszła na
panny.

— Janulko. czy to ty?! — I stary wpół ująwszy dziewczynę,
jak piórko uniósł w
górze, aż się jej nóżki zwiesiły. Niech-

by zobaczył te pantofelki krakowskie, na koreczkach
wysokich- No no !

Przytulila, się także młodsza do ojca, więc ku niej się zwrócił.

— Szczebiotko moja, a toćże ciebie polowa przybyła — i od
jednej do drugiej, to

znów do matki pochylał się i całował, a pieścił.

Gdy wam zabraknie tematu, panowiemalarze, pomyślcie o
podobnym. Być może, nie

zrobi on kasy, jak „Nana” lub „Marzenie”, ale niezawodnie
wam da szerokie do

popisu pole.

Za porządkiem odbywało się wzajemne witanie wszystkich
obecnych Szymon łązy

rękawem ocierał, ucieszony przyjazdem kobiet, nie mniej
radością p Marka.

Dla obcych najtrudniejsze podobne chwile uniesień

rodzinnych. To też Zygmunt,

który z pola tak spieszył, tu musiał plan nieomal ostatni
zajmować. Ale gdy

przyszła i na niego kolej, gdy po

matce witał Janinę, zdawało mu się, że w oczach dostrzegł
zakłopotanie, że chłód

uczul w rączki uścisku. Więc zatrwożył się. Ale nie pora była
badać dziewczynę,

wreszcie, kto wie? Może to tylko obcisłej rękawiczki wina?
Wówczas przed dwoma
laty, kiedy tak często miewał w swych rękach jej ciepłutkie
dłonie, paniąkom
zaledwie raz w tydzień, w niedzielę do kościoła, dawano
nicianskie mitenki.

Po pierwszych wrażeniach, wzajemnych oględzinach i
pytaniach, kobiety przeszły
do swoich pokoi aby suknie ogarnąć, włosy z podróży
przyczesać, Szymon doglądał
znoszenia kufrów i pudeł, a p. Marek zbliżył się do Zygmunta.
— I cóż chłopcze, jakżeście się tam witali? Bo to kobiety z
wielkiego miasta,
gotowe nas Maćków za nic nie mieć, co?
— Ojciec dla córek zawsze ojcem zostanie, ale... — i uciał
Zygmunt, spostrzega-

jąc się w porę, że nie ma tytułu, aby myśl powzięta
wypowiedzieć.

— A cóż to, sądzisz, że ja serio mówię? — i stary bystro
spojrzał w oczy
Grójeckiemu — przypuszczasz, że się moje baby istotnie
znarowiły w Krakowie?

— Ale broń Boże.

— A no, bo mi jakoś na zafrasowanego wyglądasz.
Nie wiedział Zygmunt jak się tłumaczyć. kiedy w porę
dziewczyna weszła,
oświadczył, że obiad na stole.

— No no, nic się nie bój — pocieszał: p Marek. — Pójdźmy
do jadalni.

Wszystko już wróciło do dawnego porządku w Klonowickim
dworze. Pani z kluczami
krząta się po domu, córki objęły gospodarcze wydziały, a p.
Marek u steru.
Dwuletnia przerwa, rzekłbyś, zatarła się bez śladu i maszyna
na pozór obra-

ca się swym jednostajnym trybem. Ale że w tym trybie ząb
jakiś pękł w swoim
czasie, więc uważny obserwator, zdołałby w dzisiejszym
obrocie pewnych
niedokładności dopatrzeć.
Kaziunia zaraz nazajutrz po przyjeździe, zdawała mężowi
sprawę ze wszelkich
szczeǳółów pobytu w Krakowie. Między innymi, wymieniała
szereg przeróżnych
lekcyi, udzielonych córkom. — Ho ho — kręcił głową p.
Marek — coś dużo tego, za
moich czasów nie tylko się nikt nigdy tyle nie uczył, ale nawet
takich
cudacznych terminów nie słyssał. Logie, logie i logie, lichy to
tam zrozumie.
Właśnie moja żono, słyssałem dziś rano przy kawie, jak Stasia
do Janki podobnoś
po francuzku mówiła. Niechże umieją, skoro się uczyły za
drogie pieniądze, ale
widzisz, lepiej te świąteczne szaty do alkierza schować,
zamiast poniewierać na
codzień.

— Mój Mareczku — tłumaczyła matka — to przecież dobrze,
że mówią między sobą

tylko tym sposobem nie zapomną, a nawet wprawy nabiorą.

— Po licha im ta wprawa? kto je ta w naszych górach
zrozumie?

— Cóż tobie to szkodzi?

— Bo, juścić nie chcę, aby tak ze mną wyszło, jak z tą kura,
co wysiedziała

kaczęta. Dopóki były małe, chodziły z matką, potem podrosły,
zmańdrzały i na wodę

splnęły, a kwoka jak głupia, u brzegu chodzi i gdacze. Na toż
je wysiadywała?

— Ale kiedy przesadzasz mój drogi, cóż. ma język francuzki
do przywiązania.

— Bo ty płytko rzeczy bierzesz, to widzisz tak, od rzemyczka
do trzewiczka, z

jednego drugie wypływa i w końcu się stanie, że gdy panny
wyfiokowane wejdą, do

pokoju jednemi drzwiami, to stary oj-

ciec w tej kamizeli będzie musiał wynosić się drugimi.

— Mareczku, Mareczku, co też ty mówisz, dobre, pocziwe
dziewczyny czyż nie

kochają ojca?

— O to też mi idzie, aby takimi zostały, a te wszystkie
nowatorstwa i mądrości,

to tak jak mokra darnina, co węglarz nią tlejące węgle okłada,
aż żar przydusi.

Nie chciałem ich łajać zaraz na początku, bo wyglądałoby, że
ojciec tyran, ale

ty Kaziuniu daj na to baczenie.
Na razie ustąpiła pani Markowa. Przyszły z kolei inne zarzuty.
Usłyszał stary
gamę śpiewaną przez Stasię: do, re, mi,, fa, so, la, i t. d.
— No moja panno — zarzucił kiedy za włoskie śpiewanie
płaciłem, to cóż mi tu.
wyciągasz o naszej prostej fasoli. — Dopiero trzeba staremu
gamę tłumaczyć, na
co głową kręcił jak zawsze.
— Mądrości, same mądrości.

Nie obeszło się bez kostycznych uwag o Józefie, panie
naczelniku, jak go ojciec
nazywał. Matka zapewniać musiała, że wie dzie mu się dobrze,
że ze stanowiska
swego zadowolony i zamiast być ojcu ciężarem, raczej ma
nadzieję pociągać
rodzinie w przyszłości.
— Niechże myśli o sobie, — kiedy już na swój chleb poszedł
— sarkał stary. —
Żaden Weręba nie żywił rodziców, ani ja się też jego
służalczego hołdu dotykać
nie będę.
Pozorna to jednak była złośliwość, bo jednocześnie
skwapliwie dopytywał się
ojciec za synem stęskniony, kiedy mu do Klonowic przyjechać
pozwolą.
Grójecki, niepewny losów swoich, nie długo czekać kazał na
przyjazd. Nie było to
zresztą, natręctwem, skoro go p. Marek upoważniał do tego
wyraźnie. Ale panna

już nie dwuznacznie unikała poufałej, cieplejszej z
Zygmuntem rozmowy. Trzyma-

Stasię jak gdyby na przekór nieodstępnie przy sobie, była
bardzo uprzejma,
chętnie opowiadała o miejskim życiu, o teatrze, koncertach i
towarzystwach, ale
ile razy młody człowiek jej uwagę do przeszłości zwracał,
zdawała się nie chcieć
rozumieć go, widocznie unikała wspomnień, co może jako sen
przelotny, dawno już
wywietrzały z jej główki.

Baczny na wszystko p. Marek, tego samego wieczora udał się
do zielonego pokoiku

Kaziuni. Mówił cicho nie chcąc być przez córki słyszany.

— Powiedz mi żono — zaczął — dlaczego to panna Janina
jakoś mi sztywna z
Zygmuntem?

— Nie uważałam — bąknęła pani, odwrócona do klęcznika,
gdzie miała już odmawiać
modlitwy.

— A ja uważałem i to nie dziś tylko. Przecież garnęła się
dawniej dziewczyna do
chłopca. Pamiętam, jak to bywało, czy.

na jednej kanapce, czy pod jednym oknem, niby od
niechcenia, a zawsze koło
niego, aż tu dziś ba... cedzi przez zęby, wielka damę udaje.
Zygmunt nie głupi,

a zgłupiał przy niej ze wszystkim. Już to musisz rozumieć.

— Kochany Mareczku— zwróciła się teraz żona nieśmiało — chciałam cię istotnie w tym względzie uprzedzić i obszerniej pomówić, sposobności tylko szukałam...

— A więc ją masz — zawołał mąż — z tego widzę, że się nie omyliłem słucham.

— Kiedy bo tak nagle... może jutro.

— A cóż to, grzech jaki, żeby się przygotowywać jak do spowiedzi?

— Któż mówi o grzechu?

— Więc co jest?

— Widzisz, nie można się dziwić Jance, że dziś już starsza, dorosła panna, więcej uważa na siebie w stosunku do młodego człowieka, który inaczej mógłby

wnioskować, że mu ona daje pewne prawa, obowiązujące na przyszłość.

— Strzel w łeb, nic nie rozumiem. Wyuczyłyście się jakiejś tam dyplomacji w Krakowie, a wiesz, że mnie trzeba mówić jasno, prosto z mostu.

— Zygmunt swem zachowaniem, dawniej, okazywał względy dla Janki, przecież mówiliśmy o tem i przewidywali, że zapewne o nią formalnie starać się będzie.

— To wiadomo — wtrącił p. Marek — a że widzę ze wszystkiego, iż tych zamiarów nie zaniechał, przeto zamiast rzucać mu kij pod nogi, raczej godziłoby się

sprawę ułatwić. Ma się żenić, niech się żeni.

— Jaby m nic przeciwko temu nie miała — zdobywając się na najłagodniejszy ton,

rzekła matka, — Zygmunt jest zacny, stateczny, zamożny, słowem stanowi partię,

ale Mareczku, tylko się nie unoś, nie gniewaj...

— No, no, słucham.

— Janinka nie kocha go.

— Hm hm. — mruknął pan Marek i kroczył po pokoju — nie kocha, inaczej mówiąc,

wyedukowała się w Krakowie, boć ślepy to widział, że Ignęła do niego. O, jeśli

tak, to chłopiec biedny, bardzo biedny, żal mi go serdecznie.

Uważałem, że

szczerze a uczciwie przywiązany do dziewczyny, boć przecie nie do milionów,

których wie dobrze, że z Klonowic nie wycisnę. Ho ho, co to miasto może i ta

matczyna edukacja!

— Mareczku, Mareczku, uprzedzasz się, — z prośbą w głosie ciągnęła kobieta,

której jednak pół ciężaru spadło już z serca; — nie trzeba się jej dziwić, że

nie chce go podtrzymywać w fałszywej nadziei, on sam

miałby potem o niej złe

wyobrażenie.

— Słusznie, słusznie, źle robi, że go nie kocha, bardzo źle, ale robiłaby

gorzej, gdyby uwodziła. Biedny Zygmunt.

— I mnie żal go serdecznie.

— Ale, powiedz że mnie matko, jakże się to stało? Wiadomo, że Janka kochała, czy

jak tam powiedzieć waszym językiem, lubiła tego chłopca, mówisz mi, że to ustało

a przecież serce u dziewczyny to gąbka, wyciśnij ją do szczętu, a jeno rzuć W

wodę, zaraz napęcznieje na nowo; może i z nią tak jest, co ? czyby tam co wsiąkło

w Krakowie? Toć żeś córkę miała na oku?

Jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, to jest coś, a zdaje mi się — bardzo cicho

mówiła teraz zatrwożona Kaziunia — że i ty nie będziesz przeciwny.

— A no, ciekawym, byle nie Czartoryski ani Lubomirski, bo jejmość wiesz żeś nie

magnat, kapitałów nie mam, a Klonowice djabło skromna fortuna jak na szlachecka.

— Bądź spokojny, to człowiek na snem stanowisku...

— Tego się spodziewam.

— Także zacny, rozumny a skromny, pracuje, chociaż po rodzicach posiada fundusze.

— Słusznie robi, słusznie, ale któż to taki?

— Henryk Rzepski, młody lekarz.

— Rzepski? lekarz? chyba nie tutejszy nie Galicjanin.

— Owszem, pochodzi podobno z Samborskiego.

— Co u licha, być nie może, hm, to żeś mi matka klina zabiła. Znamci ja szlachtę

całą na palcach, ale o takim jako żywo nigdy nie słyszałem.

— Dla czegoż miałbyś znać wszystkich?

— Bo znać szlachtę to rzecz szlachecka. Rzepski, Rzepski —
powtarzał p. Marek —

ani w ząb; zdaje mi się, że wiedział kiedyś o takim
nazwisku i bodajże tu
gdzieś niedaleko, ale to był ekonom, nie szlachcic.

bilo serce stroskanej matce, ona niestety nie była pewną, czy
ki zalicza się do
szlachty.

— W tym względzie — mówiła znów nieśmiało — nie umiem
cię objaśnić dokładnie.

— Jako? zawarłyście znajomość z człowiekiem, no, i
zapewne do swego domu
wpuściły, nie wiedząc co zacz, jakie jego stosunki, koligacje i
pochodzenie?

Mogłażeś ty tak postąpić Kaziuniu?

— Ale wysłuchaj mnie tylko Mareczku, a przyznasz, że ja w
niczem tu nie
zawiniłam. Zapewne wierzysz, że nie dałabym byle komu
przystępu.

— A więc jakże było z tym Rzepskim?

— Poznał się z nami w tych domach właśnie, z którymi
utrzymywałyśmy stosunki, a
przecież to ludzie ze znaczeniem, szanowani, sam znasz te
rodziny. Widząc,
jakiej młody człowiek używa opinii, jakie ma wszędzie
uznanie, jak go przyjmują

w towarzystwach, tam nawet gdzie panny są na wydaniu, a gdzie mają te same co i my pretensje, nie widziałam Mareczku żadnego powodu, aby mu nie pozwolić bywać u nas.

— Ha, może ja się mylę — rzekł p. Marek — może mnie pamięć zawodzi. Ale to się pokaże. I jakże daleko zaszły te rzeczy z panem doktorem?

— Złożył nam wizytę, potem częściej, odwiedzał, Janka widocznie bardzo mu się podobała, no, i on jej także.

— I cóż dalej ?

— Teraz, przed naszym wyjazdem, przyszedł raz po południu, panienek w domu nie było i mnie się zapytał bardzo nieśmiało, czy może mieć nadzieję, że będzie u nas na wsi przyjęty.

— Ta nieśmiałość trąci mi jakoś chlebesem — mówił Wyręba — szlachcic pyta się jasno, wyraźnie a zgodnością. Dostanie kosza, to się z fantazją pokłoni, wąsa

sztorcem postawi i w drugą stronę uderzy, bo kosz ani hańba, ani wstyd. Cóż dalej?

— Ja mu powiedziałam, że poznawszy go z tak dobrej strony, nie mogę być temu przeciwną, że owszem, zapraszam go w mojem i mego męża imieniu.

— Masz! — palcami w stół p. Marek uderzył. — Toć przecie sam rozum dyktował mnie w to nie mieszać, właśnie ojcem salwować się na wszelki wypadek.

— Ależ mój mężu, dla czego, miałam myśleć o salwowaniu? czy mogłam wreszcie postąpić inaczej? Odmówić, przyjmując go w domu tak długo, znaczyłoby tyle, co samemu sobie ubliżyć.

— Co to gadać, kobieta niech tylko chce, zawsze potrafi polityczne słówko wyszukać; język ma jak sprężynę stalową, wygnie na prawo na lewo, że zje licha kto ją zrozumie. Ale bo przesądzasz rzeczy, mój mężu.

— No no, wiem ja co mówię; słowem, on się oświadczył, ten twój jegomość pan Rzepski?

— Ja sędzę, że należy to uważać za oświadczenie. Tłomaczył się, że ma stanowisko niezależne, że posiada fundusze, a że prosił o pozwolenie bywania w Klonowicach...

— I tak dalej, i tak dalej — przerwał p. Marek. — Otóż to sprawa krótka — i zatrzymał się chwilę, jak zawsze, gdy chciał coś stanowczego powiedzieć. Snać słowa obliczał. Niby obwiniony wyroku, tak Kaziunia, patrząc mu w oczy męża z trwoga słuchała. Rzekł:

— Jeżeli on ma być biały kruk, jak mi mówisz, a szlachcic,
niechby tam wreszcie
z tych późniejszych indigenatów, jeśli mu się Janka podobała,
a i on jej, ha,
nie będę się sprzeciwiał, chociażbym wolał, aby mój zięć brał
ewaneygiery za
żyto i

tatarkę, aniżeli bodaj dukaty za recepty i mikstury. Boć mi się
nie zdaje kazać
sobie płacić za to, że się komuś dobrze poradzi, a nie rzadko
źle. Ale, dziś
wszystko uchodzi, wszyscy sobie równi, pod wodę płynąć nie
będę Jednak
zapowiadam, jeżeli ten pan doktor nie szlachcic, tylko prosty
Rzepa, co przybrał
„ski” dla parady, to nie pozwolę, choćby nawet umiał
wskrzeszać umarłych. Nie
będę psuł oczu po nocy, jutro Niesieckiego przerzucę, może
wreszcie chociaż w
Paprociom coś znajdę, ale niechno Rzepskich tam nie będzie,
to proszę pamiętać,
rychło się tu w bramie pokaże, żeby mi Ryś prosiaka zarznęła,
na czarną polewkę
dla pana konsyliarza..
Pani Markowej serce biło mocno. Miał się już mąż ku
wyjściu, ale jakby sobie
przypomniął:
— I gdzie on tak doktoruje, w Krakowie?

— Dotychczas w Krakowie, a teraz przenosi się na posadę, która otrzymał w naszym właśnie powiecie.

— Jakto, tak wypadkiem? To coś niby jak w komedyi?

— Może umślnie starał się o to, tego ci już powiedzieć nie mogę.

— Pewny siebie jak widzę pan Rzepski, ha, zobaczymy to wszystko, a teraz

dobranoc ci Kaziuniu — żonę uściskałszy, opuścił pokoik.

Odetchnąłby powinna kobieta po tej spowiedzi, ale ja

przeciwnie, jeszcze większa

ogarnęła trwoga. Oślepionej powszechnem uznaniem

Rzepskiego i nader ujmująca

powierzchownością, nie przyszło na myśl badać bliżej jego pochodzenia i

stosunków rodzinnych. Czyż to, zdaniem jej, nie dostateczna rękojmia, że w

towarzystwach krakowskich miał wszędzie dla siebie drzwi szeroko otwarte? Czyżby

tam

zaniechano już dawnych skrupułów, pozbyto się starych przesądów? O tem

zasiedziała w górach pani Wyrębina nie miała pojęcia A tu rzeczy zaszły daleko.

Dziewczę pokochało gorąco młodzieńca i szczerze to matce wyznało. Naraz ojciec,

uparcie wierzy tradycyi, stawia pytanie, kto zacz pan Rzepski?

A jeżeli to syn

chłopa lub mieszczanina? Go czeka wówczas jej córkę?
Gdzież pewność, że zrozumie
i uzna głos ojca, zimnej woli jego usłucha? Matka знаła wiele
nieszczęśliwych
zagmatwań, jakie się wywiązały w podobnych wypadkach.
Nabożna niewiasta postanowiła Bogu zdać strapienie i
niepokój, na kolana więc
padła i wzniosła ducha z ta pełną wiarą, że tam, wysoko,
pobłogosławią jej
dobrej sprawie.
Jeżeli zgrzeszyłam nieogłędnością, to tylko skarż Panie, a
jakąkolwiek

wyznaczysz mi karę, niechajże ona okupi spokój i szczęście
dziecka mojego. — A
teraz ufna, że jej prośbę usłyszano w najwyższej instancji,
późna już godziną, z
płonącym stoczkiem w ręku, weszła do córek pokoju. To jej
zwyczaj codzienny,
macierzyńska troskliwość.
Cichutko zbliżyła się do łóżka. Janka śpi spokojnie. Różową, z
pod bielizny
uchyloną pierś, przez pół zakrywają promienie rozsypanej
kosy złocistej. Oddech
równy, miarowy, wyraźne świadectwo marzeń pogodnych,
ukołyszanych błogiej
przyszłości nadzieją.
Ale na szelest i światło otworzyła oczy.
— Mateczka nie śpi? bardzo późno być musi.
— Tak moje dziecko, już po północy, ale nie wybijaj się ze
snu — i podszedłszy z

kolei do Stasi, starannie ją otulała kołderka.

— Jak mama myśli — mówiła Janka z przymkniętymi na pół oczyma — czy Henryk prędko przyjedzie?

Przyjedzie, przyjedzie — odparła matka, stojąc już we drzwiach.

— Czy to może o nim rozmawiała mama z tatusiem?

— Śpij, śpij i nie kłopotz się.

— Ach mamó, żeby on dziś przyjechał — i dziewczyna odwróciła się do ściany.

— Że przyjedzie to pewne — myślała matka już w swoim pokoiku zielonym?

ale jakież będą tego przyjazdu następstwa?

P. Marek wygłaszał zawsze, że sen nie jest uroczystością, którejby należało wiele zachodu poświęcać Szydźił z onych, jak nazywał piesków francuskich, co urządzają z sypialni przybytek gnuśności i papinkostwa. Sam sypiał w swej kancelaryi, na skórze łosiowej, wstawał równo ze świtem, a po krótkim na kolanach pa-

cierzu, do gospodarstwa wychodził. Tu zwykle zastawaj o tej porze Szymona i

radził z nim o tem i owem. Ale dziś musiało zajść coś
nadzwyczajnego, bo słońce
już nad owczarnią, a p. Marka nikt na folwarku nie widział..
Zadziwiony Szymon
pospieszył do kancelaryi, a zaledwie wszedł — źle mój stary,
źle — przywitał go
p. Marek — nie miałem ja na ten Kraków ochoty, a teraz
widzę, że słusznie.
— Olaboga jegomość! a cóż się stało? i przybyły porwał się za
głowę obiema
rękami.
— Powiedz mi, boś przecie nie dzisiejszy, słyszałeś ty o jakim
szlachcicu, coby
się zwał Rzepski?
— Co prawda nie pomnę — kręcił Szymon głową — może
Rzepecki albo Rzepczyński, bo
tacy są nie karmazyny, ale zawsze bracia.

— Rzepski, wyraźnie mówię Rzepski. Przewróciłem
Niesieckiego i Paprockiego, ale
ani śladu takich nie znalazłem. Bo i jak znaleźć wiatr w polu?
A o cóż to chodzi — pytał Szymon.
— Ba hołysz jakiś, plebejusz, skorzystał z babskiej głupoty, w
łaski się wkradł,
bo mu się małej rzeczy, Wyrębianki zachciało, słyszysz stary,
Wyrębianki!
— Bójcie się Boga!
— Ale poczeka on na moją dziewczynę aż rak świśnie.
Milczał przestraszony p. Szymon, aby jegomości nie jątrzyć,
bo wiedział, że
burza na łzach Kaziuni się skończy.

— No popatrz ty, mozem ja ślepy, może czytać nie umiem —
Wyręba Szymonowi księgi
podsunał. — Okulary nałoż..
Pochylił się starowina i palcem pokartce wskazując, nazwiska
z kolei wymieniał.

— Ale zaraz, zaraz jegomość — i zamyślił się. — Rzepski,
Rzepecki, Bzepczyński,
to wszystko pochodzi od rzepy, a rzepę bodaj ze piszą przez
rz, a my tu szukamy
na ż.

— Wiesz co Szymonie, że ty może masz słuszność. Rzepa,
rzepa, tak tak, podobnom
ja się pomylił. A no, popatrzmy.
I teraz Marek w Niesieckim. a Szymon w Paprockim
Rzepskiego przez rz szukać
poczęli. Ale nic nie znaleźli.

— Szkoda czasu — zakonkludował Wyręba i, kamizelkę
zdejmując, na dziewczkę
krzyknął, aby mu czamarę podała.

— Pójdź stary — mówił — zajrzę do gospodarstwa, resztę ci
powiem po drodze i do
Buczyna pojedę. Na obiad wrócę.
Kiedy już weszli w podwórze, z okna zielonego pokoiku
śledziła ich p. Markowa.
Była dziś blada, niespokojna czy smutna. Uważnie przygląda
się postawie i ruchom
małżonka, jak gdyby z nich o

jego usposobieniu chciała wnioskować. Co znaczy czamara?
A więc p. Marek
wyjeżdża. I bardzo zatrwożyła się Kaziunia. Postanowiła
czekać na Szymona, Od
niego o wszystkim się dowie.
Obok, w panińskim pokoju, ukończyły już garderobę
dziewczęta. To istne kwiatki.
Starsza, blondyna, regularnych rysów a pełnych kształtów, o
modrych oczach
pocziwego wyrazu, biała i rumiana, w niebieskim
szlafrocisku, wygląda jak polny
bławatek. Stasia, zupełnie nie podobna, śniada, brunetka,
szczuplejsza, ma oczy
figlarne, żywe jak iskry. Rysami przypomina ojca. W różowej,
paskiem ściągniętej
bluzce, przy tamtym bławatku, to istna różyczka.
— Zdaje mi się — mówiła Janina — że mama dziś jakby nie
swoja. Tatko był u niej
wczoraj wieczorem i gniewał się o coś.

— Zapewne na ciebie — szczebiotła.. — Tak, może za to,
żeś stłukła taki ładny
kubeczek, jeszcze po babce. Oj zgrabna panna, nie ma co
mówić.

— Nie stłukłam umyślnie ale ja za to nie chodzę po domu jak
jaka żałoba, nie
wzdycham i nie stoję ciągle zapatrzona tam, od strony....
wiesz.

— A cóż to komu przeszkadza?

— Tatko powiada, żeś ty już nie dawna Janka Klonowicka,
tylko frajlina. On tak

lubi Zygmunta, a zdaje mi się, że się czegoś domyśla. O tem
pewnie była wczoraj;
mowa.

— Wcześniej czy później, musiała mama tę sprawę poruszyć.

— Wiesz Janko, ja się trochę boję.

— Myślisz że ojciec?...

— Uważam, że krzywy na ciebie, bo też: co prawda, jesteś
niemożliwa z tym twoim

Henrykiem, Powiedz mi, czy ty tak tęsknisz za nim?

Przyjdzie i na ciebie czas, a wtedy sama sobie odpowiesz na to
pytanie.

Chcielibyście może, żebym skakała po domu, jak panna
Stanisława? Minęły czasy,
kie. dy miałam szesnaście lat.

— Nie tak dawno minęły, a wreszcie jamam siedmnasty. To
wielka różnica.

— Nie funt fig, tylko fig funt — droczyła się starsza.

— Dlaczego ty mi zawsze to dzieciństwo wymawiasz, tak
jakgdyby szczególna

zasługa było urodzić się wcześniej?

— Pójdź tu do mnie Staśka — rzekła, Janka poważnie.

— To cóż będzie? — i stanęła przed nią.

— Nachyl głowę — a gdy ta rozkaz: spełniła, Janina
pocałowała ja w czoło. — Nie
gniewasz się już?

— Nie Janko.

— To daj buzi — i dwa kwiatki urocze, niby w wiązankę,
ramionami się-

splotły. Bo też siostrzyczki kochały się szczerze, serdecznie,
ani jednej chwili

nie umiały obejść się bez siebie.

— Tyś brzydka Janko, że ci tak pilno pójść za męż.

— Jeszcze nie mówię hop.

— E, mama sobie z tatkiem poradzi, będzie tam może trochę
korowodów, jak zwykle.

Uśmiechnęła się starsza na te słowa.

— I ty dobrze wyjdiesz na tem, bo przecież musiałyś
czekać na mnie, dla

samego zwyczaju.

— Wiesz co ci powiem Janko? — i patrząc figlarnie a
tajemniczo, siostra, siostrę

objęła za szyję — ale nie, nic nie powiem.

— No mów.

— Nie nie, kiedyś może, później, zobaczymy, a teraz pójdźmy
do mamy.

I wyszły panienki przed dwór, ale matka widząc, że mąż
istotnie wózkiem

wyjechał, na folwark podążyła, Szymona odszukać.

Do reszty zasmuciło ją sprawozdanie Jarego. A więc Rzepski
nie szlachcic, a mąż

do Zygmunta pojechał. Położenie wikła się coraz bardziej.

Tylekroć zdołała p.

Markowa przekonać lub uprosić męża. ale w tej sprawie nie
liczyła na siły swoje.

Znała nazbyt dobrze jego przesady, odziedziczone z dziada
pradziada, to też tem

bardziej wyrzucała sobie lekkomyślność, z jaka pozwoliła Rzepskiemu zbliżyć się do córki w Krakowie. W tym razie, ani czas, ani żadne okoliczności nie mogły położenia polepszyć. Tymczasem zakochani nie znoszą rozłąki, więc konkurent lada chwila przyjedzie tylko po to, aby bezpowrotnie odjechał. A na to biedne dziecko co powie? Czyż nie było obowiązkiem przezornej matki to wszystko przewidzieć?

Po krótkim namyśle, p. Wyřebina zdecydowała się śmiało zajrzeć nieprzyjacielowi w oczy, zamiast przed, nim uchodzić. Jakby umyślnie Janka stoi w dziedzińcu i patrzy na drogę. Matka wie, kogo tara upatruje, a więc spieszy tem prędzej z sercem ściśniętem. Ale oto dziewczę samo podbiega i zadyszana —
mameczko, mameczko — woła — Henryk jedzie, o tam, pod lasem.
— Co mówisz, może ci się zdaje — i obiedwie do bramy podeszły. Stasia biegła za niemi.
— Henryk jedzie — powtórzyła Janina.
— A mnie się zdaje, że to stary Jousek, który od tatka owcze skórki kupuje — śmiejącym się głosem dzwoniła młodsza. Ale nie słyszano jej żartu, bo siostra nadrogę, a matka w przyszłość wyteżyła całą uwagę.
— Zkąd wiesz, że to on? — pytała p. Markowa.

Ja się mam nie mylę.
I w istocie nie mylił się, bystry, wiedziony miłością wzrok
panny. Henryk
Rzepski nadjeżdżał. I jemu spieszyło się zajrzeć w turkusowe
oczy dziewczęcia.
— Pójdźcie do pokoju — rzekła matka — nie wypada stać w
bramie. — Niech się
dzieje wola boża, myślała, czyż mogę w takiej właśnie chwili
rozdziierać jej
serce. I jak zwykle, słabość matczyzna zwyciężyła zdrowy
rozsądek
Wkrótce potem, do bawialni klonowickiego dworu, z
najlepszą myślą, wchodził
młody, bardzo przystojny pan. Sympatycznej postaci, ciemny
szatyn, o wyrazistym
oku i wysokim czole, z niezbyt bujnym jeszcze do koła
twarzy zarostem, mimo
wczesnego wieku, czynił wrażenie poważnego i inteligentnego
człowieka. Był to
jeden z tych, rzadziej spotykanych ludzi, którzy od pierwszego
rzutu oka zwraca-
ją na siebie uwagę, wybitnością rysów

wrażają, się w pamięć, rzekłbyś, każdemu z sobą liczyć się
kaza.

— Jakże szczęśliwy jestem — mówił do matki z salonową
swoboda — że mogę paniom

już tu, na wsi złożyć uszanowanie.

Pani Markowej słowa w gardle uwięzły. Zbyła gościa niewyraźnym półsłówkiem. Ten małą zapewne zwracał na to uwagę, bo teraz witał pannę Janinę a, wreszcie jej siostrę. Odwróciła się matka w chwili, kiedy Janka, promieniejąca radością, pozwalała swą rączkę Henrykowi uścisnąć.

— Wszakże zastałem w domu pana Wyrębę? — zapytał, zwracając się . znowu, do matki.

— Mąż mój wyjechał... w sąsiedztwo.

— Ale zapewne wkrótce powróci — w najlepszej wierze dorzuciła Janka.

— Gorąco pragnę być mu przedstawionym.

Na te słowa prosiak stanął na myśli pani Wyrębinie. Podług rozkazu męża, powinna przygotować go na czarną polewkę. A mąż nieposłuszeństwa nie znosił. Co począć?

Ale wszakże nie wiedziała, dotychczas urzędownie o wyniku poszukiwań w

Niesieckim. Więc tym kruczkiem, postanowiła ratować się strapiona kobieta. Gdy

mąż nadjedzie, ona każe natychmiast obiad podawać.

I tak się stało. Długą chwilę rozmawiano w bawialni, potem matka do

gospodarskich zajęć odeszła, sprytna Stasia znalazła pozór jakiejś czynności w

sąsiednim pokoju, a Henryk teraz dopiero witał Janinę, szeptał o swej tęsknocie,

pieścił rączkę ukochanej, wzrok topił w jej oczach. Z początku milczeniem,
później ciepłem, wreszcie gorącym słowem odpowiada dziewczyna.

— Szczęśliwy byłem już w Krakowie — mówił Rzepski — ale to szczęście wyda-

wało mi się jakby kradzione. Cały urok jego odbierała mi niepewność, brak zaufania do siebie samego, obawa, czy tu w Klonowicach będę przyjęty, czy tu; pod patryjarchalnym dachem rodziny Wyreńców będzie mi dozwolone panno Janino, tak samo jak tam, usiąść przy tobie, tak samo jak tam patrzeć w piękne oczy twoje.

— Dla czegoż nie miałoby być wolno? — naiwnie zapytała panna.

— Nie dziwię się zupełnie, że tego nie rozumiesz panno Janino, bo istota jak ty, tylko takim złotem serduszkim jak twoje rządzić się może, ale świat podlega prawom nie zawsze sprawiedliwym i przedawnym pojęciom i zasadom, które się tak subtelnie z przodków w niego wpoły, jak wrosły głęboko w ziemię starego dębu korzenie. To też nie dziwna, że zastraszać mnie mogą.

Patrzyła w oczy Henryka Janina, pokazując po sobie, że go jednak nie zupełnie

rozumnie. On widział to.

— Ojciec pani — mówił coraz jaśniej — hołduje podobno tym jeszcze czasom, w których wartości człowieka szukano nie tyle w nim samym, ile w tradycji jego rodu, słowem w pochodzeniu. Ale dziś przecież świat posunął się naprzód w. tych pojęciach. Od nas już nie żądają wykazywania się antenatami o hetmańskich buławach lub senatorskich krzesłach, żądają natomiast słusznie, abyśmy własnym czynem, własną pracą tylko własną zasługą o wartości swojej świadczyli.

Zaturkotało.

biegnąc do okna

— Tatko przyjechał — biegnąc do okna zawołała Janina.

Ale matka jeszcze za bramą wózek dostrzegła, więc, trzymając się ręką za serce, na ganek wyszła.

— Któż to tu jest ? — pytał mąż wysiadając — widzę jakies konie przed stajnią..

— Rzepski przyjechał — z palcem na ustach odparła żona — pójdź ze mną do kancelaryi, chcę z tobą pomówić.

— Coś mu bardzo pilno było — mruknął p. Marek — ale to może i lepiej, że się z tem wcześniej skończy; zapowiadam, pani matce, niema czem pan konsyliarz. głowy sobie zawracać. Ale, ale, a polewka?

— Przecież ja o niczem nie wiedziałam,. a obiad już dają,
czekaliśmy tylko na
ciebie.

— E, gadanie, niby ci to Szymon nie mówił, manipulujesz
Kaziuniu, a to źle,
polewka najkrótszy sposób, rekuzy, oszczędza nieprzyjemnej
rozmowy.

— Ale Mareczku, ja myślę... możeby... zostawić to czasowi..

— Myśleć trzeba było w Krakowie, a tu, do mnie myślenie
należy.

— Zlituj się mężu, cóż ty chcesz zrobić?

— Toć go za drzwi nie wyrzucę, bo gościem jest naszym, a
Bogiem a prawdą i nie
wiele winien, skoro mu drogę ułatwiono, zamiast zagrozić.
Ale zostaw to mnie,
już ja sobie składnie poradzę. No, pójdźmy do bawialni.
Prawdziwą torturą dla Kaziu ni była chwila przedstawienia
Rzepskiego, wzajemnej
rozmowy, a następnie obiadu. Młody człowiek, dobrych form
i gładkiego obejścia,
teraz tem bardziej starał się podobać, ująć sobie Wyrębę,
którego poniekąd miał
już prawo za przyszłego teścia uważać. Uprawniony przez
matkę, ani przypuszczał
jakie go ze strony ojca. czekają wyroki. Wszak było dość
czasu jeszcze w
Krakowie na porozumienie się rodziców. Tu nie nie mógł nie
widzieć pewnej w panu
Marku sztywności, ale brał to na karb charakteru i
usposobienia człowieka, o
któ-

rego despotycznym nieco wyglądzie, był już uprzedzonym przez Jankę.

Skończył się obiad, nie dla wszystkich biesiadników wesoły, a pan Marek gościa do kancelaryi zaprosił. Jednocześnie matka wyprowadziła Janinę do zielonego pokoju.

Należało ja koniecznie o stanie rzeczy uprzedzić. Stasia tylko sama została w jadalni, a sprawiając gospodarskie czynności, zazdrościła potroszę, że rodzice w tej chwili radzą o szczęścia jej siostry, kiedy ona długo jeszcze zapewne czekać nań będzie musiała.

W kancelaryi, pan Marek sam zaczął;
— Po przyjeździe z Krakowa — mówił do Rzepskiego — oświadczyła mi żona, że pan okazałeś intencję starania się o jedną z naszych córek.
— Uprzedzasz mnie pan dobrodziej — przerwał młody człowiek — albowiem celem przybycia jest właśnie przed nim, Jako ojcem, powtórzyć mą śmiała a nie

mniej gorącą prośbę, do czego dodały mi odwagi łaskawe względy, jakie w Krakowie u pani Wyrębiny, znalazłem.

— Siadaj więc pan i posłuchaj: Rzepski zajął miejsce z najlepszą, wiarą w

pomyślność obrotu, sprawy.

— My, Wyrebowie — mówił pan Marek — siedzimy na tym klonowickim zagonie od kilku wieków, Ale jakimkolwiek splendorem otaczali się moi przodkowie, ja dziś, jak pan widzisz, nie pnę się wysoko, ot, dziękuję Bogu za to co mam, a nie naprzykrzam się o więcej. Inaczej mówiąc, Maciek robi, Maciek zjada. Wspominam o tem, abyś pan. nie sądził, że dla. dawnych szlacheckich zasług, czy godności przodków, z którymi, jak słyszę, mniej się dziś liczą na szerszym świecie, że tedy dla nich za nic mam tych, co się do starej szlachty nie zaliczają. Owszem, dobry jest szlachcic, dobry i mieszczanin, ba, niezły i chłop prosty, aby tylko każdy na swo-

jem miejscu stał i uczciwym był. Toż przecie wszystkich jeden Bóg stworzył, chociaż im, jak na szczeblach drabiny, różne w społeczeństwie stanowiska wyznaczył. Wprawdzie opowiadał mi ojciec o tym królu francuskim, który miał powiedzieć, że łatwiej mu utworzyć książąt dziesięciu aniżeli szlachcica jednego, przez co, na moje, rozumiał, że najtrudniej podobno krew człowieka doczyścić tak, aby wartała szlacheckiego stanu, tej podstawy ludzkich godności

Ale to mówił król, ja tylko za nim powtarzam.
Niby prosty, a jednak na dyplomacyę zakrawujący ten sposób
mówienia pana Wyręby,
nie podobał się Rzepskiemu; lecz należało być cierpliwym.
— Tu zaś inną rzecz mam na uwadze — ciągnął pierwszy —
która panu, młodemu,
łatwo mogła nie przyjść do głowy. Na mój rozum jest tak na
świecie: ryba żyje
w wodzie, ptak w powietrzu, kret w zie-

i, a wilk na bagnach, po lasach, Z ludźmi nie inaczej: szlachcic
bez zagona
uschnie, a co najmniej zgałanieje, księdzu potrzebny kościół
i plebania,
juryście proces, doktorowi chory, no — a królowi korona.
Pomieszajmy to wszystko
bez ładu i składu, to albo się ludziom w głowach przewróci,
albo każdy co do
niego należy, nie tak jak trzeba wykonywać będzie Gdyby mi
ktoś zarzucił, że się
to nie odnosi do kobiet, tobym mu powiedział, że sady
fałszywie, boć kobieta
jest takim samym człowiekiem, tylko, że ona słuchać, a
mężczyzna ma rozkazywać.
Ale i ona zrasta się z tem i owem, i ona oddechać musi
powietrzem, w jakim się
urodziła i wychowała. Złamać ją, ha, to niby można, boć
garnki ludzie tłuką a
potem drutują, ale uderz w niego, a przekonasz się, że
zdrowego głosu nie wyda.
Zawsze to będzie skorupa.

Słuchał Rzepski oracyi pana Marka, a chociaż na taką loikę i trafność porównań nie zupełnie się zgadzał, to jednak zamiast trwożyć się, raczej usiłował widzieć w nich troskliwość ojca, słusznie badającego warunki, w jakich jego córka znaleźć się będzie musiała. Grodząc się więc pozornie na owe sofizmaty, obmyślał w duszy przyzwoitą odpowiedź.

— Otóż prowadzę do tego — widocznie konkludował stary — że i naszą córkę musielibyśmy złamać, wydając za pana.

Rzepski teraz dopiero zaczynał myśl starego rozumieć. Zmieszał się.

— Przyrośnięta do szlacheckiej zagrody jej zwyczajów i otoczenia — zawsze tym samym kaznodziejskim tonem mówił Wyręba — potrzebuje tego powietrza, tych drzew, gospodarstwa, bodajże widoku krów i owiec, kur i kaczek. To jej świat, to jej woda, w której tylko jak owa ryba, żyć może, swobodnie.

Chciał już przerwać Rzepski, ale pan, Marek ciągnął.

— Młodym wszystko się pięknie przedstawia, bo młodość, to czasem jak ten motyl, co na pierwsze słońce marcowe nieopatrznie wyleciał i nuż bujać po świecie; aż

tu sypnie mokrym śniegiem planeta lub zakręci z gradem
wichura i biedak
przepadł, bo się źle obliczył, bo myślał głupi — przepraszam
za porównanie — że
to już lato; tak jak wam się zdaje, że dość jest podobać się
sobie, aby stworzyć
na ziemi raj, a tymczasem tak nie jest; młodzi ludzie, jak
powiedziałem, nie
dobrani szczeblami, będą mieli może raj w niedzielę, ale w
poniedziałek piekło.
Obowiązkiem starego, doświadczonego ojca, jest czuwać nad
losem dziecka, to też
proszę mi wybaczyć, ale z powyższych powodów, nie mogę
przyjąć pańskich dobrych
chęci i — nie przeczę — zaszczy-

tnych dla nas zamiarów względem naszej córki.
W tej chwili pomieszało się już w głowie Henryka wszystko, z
czem miał w
odpowiedzi p Wyrebie wystąpić. Był jako ten, co dostawszy
między oczy uderzenie
obuchem, zbiera najprzód przytomność, Snać zauważył to p.
Marek, bonie chcąc do
niej dopuścić — sędzę — mówił znów — że zrozumiawszy
się dostatecznie, możemy
uważać sprawę za załatwioną, bez potrzeby poruszania jej dziś
lub w przyszłości,
z czym nam obydwóm będzie wygodniej.
— Niezawodnie — z godnością schylając głowę, odparł
nareszcie Rzepski i z

krzesła powstał. W pierwszej chwili miał zamiar na tem jednym słowie poprzestać, ale wzburzona krew młodzieńca, przemogła rozwagę. Nie mógł nie zrozumieć całej finezyi zręcznych zwrotów dumnego szlachcica, to też uczuł się niemi

mocno dotknięty. Dodał więc: — byłbym jednak o wiele mniej poniżonym przez pana, gdybyś był raczył oszczędzić mi tek na pozór delikatnych, a przecież, o ile teraz widzę, bolesnych dla mnie zapewnień, że pomiędzy szlachcicem, mieszczaninem i chłopem, nie odróżniasz swego uznania.

— Panie Rzepski.... — przerwał Wyręba.

— Niech mi będzie wolno skończyć — ciągnął młody człowiek — jasnym jest, że ten tylko wzgląd między nami stanął na przeszkodzie, bo nie ujmując nic jego wiekowi i doświadczeniu, pozwalałam sobie mniemać, iż człowiek nie jest rybą. ani ptakiem lub kretem, w obec czego....

— Panie Rzepski — powtórnie przerwał stary — gdyby nie to uznanie, właśnie, jakie się panu, słyszę, od ogółu a więc i odemnie należy, gdyby nie szczerza w obec tego intencja oszczędzenia ci przykrości, którą zkądinąd łatwo pojmuję.

Zamiast

tak długich moich wywodów, z jakimi widzę nie zgadzasz się,
poprzestałbym na
jednym słowie tylko, któreby dla pana było zarówno
wystarczającym, a mnie
uwolniło od potrzeby usprawiedliwiania się.
— Jestem więc panu bardzo obowiązany z przekąsem dorzucił
Rzepski i przygryzł
wargi — teraz nie pozostaje mi, jak tylko pożegnać go i
prosić, abyś zechciał
wytłómaczyć mnie przed paniami z nagłego wyjazdu.
W chwilę potem odjeżdżał z klonowickiego dworu
niefortunny konkurent, a p. Marek
ujmował kłamkę zielonego pokoiku, słuchając jednym uchem
turkotu wózka niknącego
za bramą, drugim łkanie ciężko strapionego dziewczęcia,
zmieszanej z matczynymi
słowami pociechy.

Gdy ojciec wszedł, Janina, nie mogąc płaczu powstrzymać, a
nie chcąc okazać
swego przygnębienia, wyjść zamierzyła.
— Popłacz, popłacz sobie kruszyno — mówił stary — to
nigdy nie szkodzi — i z
matka sam został.
— Widzisz Kaziuniu, jak to dobrze mieć trochę oleju w
głowie — mówił — ładnie,
pięknie, nie wywyższając siebie ani poniżając drugich, tak mi
się udało temu

doktorowi całą rzecz wyłożyć, że mnie odrazu zrozumiał i
nawet bez żalu
odjechał. Trzeba bo było słyszeć, jakem go zaszedł
politycznie. To nie sztuka
dać komu gorzkie lekarstwo, żeby się po niem wykrzywił. No,
ale przyznać trzeba,
to człowiek gładki i widać mu z oczów, że dorzeczny. Tylko
— nie szlachcic. Bób
co chcesz, krwi w niego nie wlejesz.
— Ale dziecko biedne — odezwała się wreszcie matka, łzy
ocierając — wszystko się
stało tak nagle, boję się o nią.

— Ho ho, przesadzasz Kaziuniu, z miłości nikt nie umarł — i
p. Marek usiadł"
przy żonie, w rękę ją pocałował, co było u niego objawem
współczucia. — Pójdźże
po Jankę, przyprowadź tutaj, niech jaz nią pogadam.
Posłuszna Kaziunia wyszła, a on mówił do siebie. —
Zwarzyły mi się kobieciećta.
Ha, trudno, i dziad mój i pradziad nie postąpiłby inaczej.
Zygmunt to tam jakoś
powoli naprawi.
Nie bez celu stary do Buczyna jeździł. Obawiał się, że
Grójecki, chłopiec
skromny a delikatny, widząc do siebie niechęć Janiny po
powrocie z Krakowa, a
wiedząc może cośnieważnego o pojawieniu się konkurenta, usunie
się, chociażby tylko
droga ambicyi i miłości własnej. A przecież p. Marek nie
darowałby sobie, gdyby

jego córka straciła tak dobrą, a poważną partję dla
chwilowego zawrotu głowy
przez jakiegoś intruza. Należało więc zabezpieczyć

się w tym względzie. Zadanie, łatwe na pozór, było jednak z
natury swej nieco
drażliwe. Napraszać się z dzieckiem, nawet Zygmunтови, p.
Marek nie chciał. Z
drugiej strony — mniemał — że nie potrzebuje uciekać się do
polityki z
młodzieńcem, którego z dawien dawna prawie do rodziny
zaliczał. Grójecki to nie
Rzepski, szlachcic ze szlachcicem w dwóch słowach wszelkie
sprawy załatwiać
powinien. Gdy tedy p. Marek do Buczyna przybył i młodego
gospodarza zajętego
przy ekonomicznych rejestrach zastał, nie namyślając się
długo, rzekł:
— Posłuchaj chłopcze, z czem. do ciebie przyjeżdżam. Nie ma
co obwijać w
bawełnę, że ci nasza Janka w oko wpadła; ani ty nie
potrzebujesz się z tem taić,
bo nie wtem zdrożnego niema, ani też my rodzice krzywić się
o to nie mieliśmy
powodu. Jak dawniej, przed Krakowem, tak i dziś, chciałem to
wszystko czasowi
zo-

stawić, bo dobry ogrodnik nie powinien niedojrzałego jabłka z drzewa otrząsać.

Ale stało się, że nam tu wszedł w drogę ktoś nieproszony. Co zacz, jak i skąd, to nie należy do rzeczy, dość, że sobie baby głowę nim trochę zawróciły.

Widziałeś pono sam, a może i wcześniej odemnie, że Janka już nie była dla ciebie tak, chętna jak kiedyś.

— Zauważyłem to od pierwszej chwili — mówił Zygmunt, zmieszany nieco wstępem starego.

— Widzisz mój chłopcze, gdyby ta cała sprawa wyglądała inaczej, ha, ja sam zdałbym ją na wolę bożą, przeciwko której sarkać nie godzi się nikomu. I tobiebym powiedział: nie zaprzataj sobie głowy dziewczyną, która umiłowiała innego. Mierzyć można dobrze, a jednak chybić. Ale tutaj tak rzeczy stoją, że zbadawszy okoliczności, musiałem z miejsca moje veto postawić. Kobiety — wiadomo — długie

włosy a krótki rozum najczęściej miewają, pobłądzić im też łatwo, lecz do ojca rodziny należy błąd w czas naprawić. Ja go już naprawiłem, a one zgodzić się z tem muszą, ile, że to w ich własnym interesie leży. Ty zaś Zygmuncie fantazyi nie trać, czupryna do góry i licz na mnie.

W trudnym położeniu znalazł się młody człowiek. Odrzucić podobną życzliwość starego sąsiada, zaszczyt właściwie, znaczyłoby tyle, co obrazić go ciężko, czy jednak nie gorzej ze względów korzystać? Jeżeli panna kocha innego, czyż rola, jaką p. Marek Zygmuntowi przywoził, mogła mu się uśmiechać? Wszak jasnym by było. że zamiast goić, on raczej swą natretnością krwawić będzie ranę w rodzinie. Tymczasem stary milczeniem domagał się odpowiedzi.
— Szturmem serca panny Janiny zdobywać bym nie chciał —
- rzekł wreszcie.

— Tak tak, zapewne — wtrącił p. Marek — ale tu nie o szturm idzie.
— Jeżeli czas pokaże — ciągnął młody człowiek — że owa znajomość krakowska nie zostawi trwalszych śladów po sobie, że to było tylko chwilowe upodobanie, a ja wrócę do tych łask, jakimi, zdaje mi się, cieszyć się kiedyś zaczynałem, wówczas nazwę się szczęśliwym, zem sobie i u pana, przyjaciela mego ojca, na takie zaufanie i zaszczytne dla mnie pierwszeństwo zarobił. Nastąpiły potem jeszcze piękne słowa i trochę ceremonii, po których p. Marek odjechał, nie z takim zadowoleniem, na jakie liczył. On się spodziewał, że

Zygmunt okaże radość i wdzięczność bez żadnych zastrzeżeń,
a tu spotkał się z
pewną dyplomacją, z którą zwłaszcza względem siebie,
wolałby się nie spotykać u
młodego szlachcica. Rad nie rad, zaprosiwszy do Klonowic
sąsiada, wyjechał od
niego ze słowami na ustach: jakoś to będzie.

I teraz pocieszał się niemi, kiedy matka wprowadziła Janinę.
— Pójdź tu dziewczyno — rzekł poczem córkę w pół
objąwszy, na swem kolanie
posadził. — Jakże tam, zmartwiłaś się bardzo?
Dziewczę milczało. Łzy jeszcze nic obeschły w jej oczach.
— Czy ty wiesz Janko, jak hartują żelazo? Oto zapalają je do
czerwoności i
wkładają w wodę, w której się kurczy i dlatego twardnieje. Z
człowiekiem tak
samo. Skoro raz i drugi z radości wpadnie w smutek, ba,
gorzej czasem, bo ze
szczęścia w nieszczęście, to mu się charakter jak żelazo na stal
przerobi. A
stal lepsza, więc droższa, bo szlachetniejsza. Człowiek, jeżeli
ma iść twardo i
śmiało przez życie, musi mieć kark, jak stal zahartowany. Ot i
tu. Poznałaś tego
Rzepkiego. Rozumiem, że ci się podobał, bo chłopak gładki,
ani słowa, ale cóż z
tej gładkości, kiedy to

maż nie dla ciebie? Toć że matka chciałaby twego dobra, a
dziś i ona widzi, że
ja mam słusność, a twój ojciec musi patrzeć dalej, aniżeli na
koniec nosa, bo
bez tego utykałibyśmy wszyscy co kroku. Dziś trzeba sobie
krótko powiedzieć:
przepadło i basta.
Snać p. Marek źle obliczył skutek słów swoich, bo córka
usłyszawszy „przepadło”,
uderzyła w płacz głośny.
— O, tego nie lubię — już cokolwiek niecierpliwie zawołał
ojciec — cóż to,
nieszczęście się stało? czy świat się kończy na tym doktorze?
No, nie becz, oczy
obetrzyj, bo wstyd mi za ciebie.
Dziewczę płakało coraz głośniej, a twardy na pozór p. Marek
nie chciał pokazać
po sobie, że i jemu ta scena wielką przykrość sprawiała. W
sama, więc porę matka
im z interwencją przyszła.
— Zostaw ją Mareczku, zostaw — mówiła — niech się
dziecko uspokoi, nie

można działać tak pospiesznie, przecież i ja czuwam nad nią.
— Rwałyście się do tego Krakowa, toć macie Kraków! —
rzekł stary, mszcząc się na
żonie za swoje zmartwienie. I wyszedł.
Pan Marek sądził, że skoro już Rzepskiego odprawił,
Zygmunta zachęcił i
ośmielił, a żonie i córce niemożliwość zamierzonej w
Krakowie partyi wytłumaczył

jasno, że skoro tego wszystkiego, mimo trudności dokonał, to
w Klonowickim
dworze zapanuje teraz dawny, niczem niezamącony spokój, a
chwilowe
nieporozumienia raz na zawsze pójdą w niepamięć. Był tedy z
siebie rad, a żądny
zwykle uznania chwalił się przed Szymonem, że złe
następstwa krakowskiej
kampanii — jak ją nazywał — w samą porę mądrze i
praktycznie usunął. Ojciec
rodziny i pan domu despotyczny, o pojęciach prawie że

kacykowskich, nie przypuszczał, aby w głowie Kaziuni lub
Janiny powstać mogła
myśl buntu przeciwko jego woli. I nie mylił się, chyba tylko
tyle, że biedne
kobiety, ogłuszone na razie, żywiły nadzieję na przyszłość,
liczyły — jak zawsze
w takich wypadkach — na czas, na jakiś szczęśliwy zbieg
okoliczności.

Ale rachunek to niepewny i zawodny. Tydzień za tygodniem
upływał, nie przynosząc
nic ani nowego ani dobrego. Więc zmienił się wygląd
mieszkańców Klonowickiego
dworu. P. Marek, zazwyczaj poważny, pesymista z zasady i
charakteru. lubił
jednak otoczenie swobodne i wesołe. Sam siedząc najczęściej
na uboczu, z
ulubioną fajeczką, zapuszczając się wstecz myślami o
dawnych czasach i ludziach,

których dziś coraz mniej do koła siebie spotykał, wreszcie
kombinując przeróżne
gospodarskie liczby spodziewanych zysków

a nie rzadko strat w takich chwilach kontemplacji lub
zamyślenia, chociaż zwykle
milczał, chętnie jednak słuchał gawędki rodziny, szczebiotu
córek, nawet
zrządzenia starego Szymona. Domator, w tem najbliższem
sobie towarzystwie,
szukał rozrywki, pragnął wypogadzać nieraz zasepione, boć i
przyszłością
trwożące się myśli. Ale teraz daremnie czekał szarej godziny,
lub owej pory
wieczornej, kiedy to. Maryś ze słowami „Niech będzie
pochwalony” wносиła do
jadalni wielką jasną lampę, jako hasło na które matka i córki z
robótkami w
rękach, rozmowne, siadały za stołem, tuż za niemi Szymon z
kluczami ostatnie
sprawozdanie z folwarku przynosił, a on sam, siedząc w kącie,
okiem z kolei po
wszystkich rzucał, fajeczkę raz poraz nakładał, dymem pykał,
dopóki o ósmej
godzinie dziewczki z siadłego mleka i ziemniaków nie wniosą.
Dziś to wszystko
wyglądało inaczej. Kobiety

zdawały się unikać owych wieczornych posiedzeń. Kaziunia zesmutniała, a co gorzej pobladła, kochając męża, znając od ćwierć wieku jego humory i upodobania na wylot, starała się nie pokazywać po sobie strapienia i poważnych obaw, wywołanych stanem Janiny, który dowodził wyraźnie, że nie każde uczucie siłą słowa, perswazyi, z serca wydrzeć można. Baczna więc na oboje, jak między młotem a kowadłem, to córce to mężowi nosiła z kolei słowa pocziwe. Tam pociechę i wiarę w przyszłość, to uspokojenie i wyraz uległości. Ale ta szlachetna dwulicowość nużyła ją wielce, tem bardziej, że i z innych, niezrozumiałych powodów, z dnia na dzień upadała na siłach, powoli ale stopniowo traciła zdrowie.

Z początku p. Marek nie zwracał na to uwagi, licząc, że czas wszystko uleczy. Ale później nie mógł nie widzieć znacznej zmiany cery, zamglonego wzroku, pewnej

ociężałości, słowem ogólnego fizycznego upadku zatrwożył się.

Co rzadko bywało, upatrzawszy chwilę, poszedł do córek pokoju. Zastał obiedwie przy sobie. Stasia jak zwykle w tych czasach, pocieszała siostrę. A i młodsza,

zawodem starszej strwożona, spoważniała bardzo, rzekłbyś,
przybyło jej lat
kilka. Nie dziwna, wesołość, zarówno jak smutek, zwykły się
sobie udzielać. A
nuż i ją kiedyś spotka podobne zmartwienie serdeczne. Tylko,
że to dziewczę od
Janiny różniło się charakterem. Mniej sentymentu, więcej
sprytu, a krewkość po
ojcu. Zamiast poddawać się i podlegać, ona raczej do
zawojowywania miała
skłonności. — Słuchaj no Janko — rzekł ojciec do pokoju
wszedłszy — tyś przecie
starsza i roztropna, czy nie uważasz, że matka jakoś coraz
bardziej nie domaga?
Nie skarży się, ale widzę, że co dzień gorzej wygląda.

— Tak proszę tatki — nieśmiało odparła dziewczyna, bojąc
się, czy nie usłyszy
wyrzutów, że to z jej winy pochodzi. — Mama się kryje, ale
widzę, że nawet
często pokłada się, bardzo mało jada, a w nocy nie sypia,
— Ba, boście też cmentarz z domu zrobili — z przekąsem
mówił stary. — Wzdychacie
tylko jedna przez drugą, aż mi zbrzydło to wszystko. A no,
trzeba po doktora
posłać, niech matkę obejrzy.
— Ja to samo chciałam tacie powie dzieć — dorzuciła Janka.
— Wyprawię Szymona po Balińskiego. ale nic o tem nie
mówcie. Będzie się
wypierała jak zwykle.

Kiedy wkrótce potem Szymon do miasteczka wyjeżdżał, w bramie mijał się z przybywającym Zygmuntem. Ten bywał w Klonowicach od czasu do czasu, ale nie wtajemniczając w to p. Marka, już charakter swój w stosunku do panny jasno

zaznaczył. Ona sama pierwszy krok uczyniła ku temu, a to za wiedzą matki. Dowiedział się tedy młodzieniec, że jakkolwiek jej wybór w Krakowie nie znalazł aprobaty u ojca, jakkolwiek ona— córka powolna — zgadza się z tą smutną dla siebie koniecznością, to jednak ani chce, ani może gwałcić uczucia, któremu, bez względu co przyszłość pokaże, zawsze wierna zostanie. — Wiem dobrze — mówiła — jak bardzo mój ojciec jest życzliwy dla pana, jak pragnąłby widzieć go członkiem naszej rodziny, ale ja nie chcę i nie powinnam wprowadzać cię w błąd, łudzić nadzieją, nigdy nie mogącą się ziścić. A więc i ojciec kiedyś, później, będzie musiał oswoić się z tem, co jest nieuniknione, znasz go jednak panie Zygmuncie, więc wiesz, jak trudno mu rzec się raz powziętych postanowień. Gdybym ja sama zdobyła się na stanowczość i oświadczyła, że mogę wpra-

wdzie nie uczynić tego, co mi on zabrania, ale nie dam skłonić
się do tego, comi
uczynić nakazuje, zapewne, sprawa byłaby załatwiona
ostatecznie, w każdym jednak
razie wywołałoby to coś w rodzaju walki, podjętej przeciwko
ojcu nie tylko
przezemnie, ale i przez biedną, skołatana moją matkę. A my
dziś obiedwie nie
mamy siły do walki. Pojmujesz pan, że zaporą tak stanowczą
na drodze, która
według naszego mniemania do szczęścia całego życia
prowadzi, jest zbyt ciężką,
że ona w zupełności wystarcza, aby zachwiać albo złamać
kobietę. Chciej więc
wierzyć, że i ja już na pół złamana, i dlatego nie zmieniaj na
teraz swego do
nas stosunku. Niechaj ojciec z pierwszych wrażeń ochłonie, a
ja tymczasem
nabiorę świeżych sił, jakich jeszcze potrzebować będę do
zniesienia szemrań,
których się z jego strony spodziewam.

Zygmunt okazał się szlachetnym i wielce delikatnym. Kolę
manekina względem p.
Wyreby przyjął na czas nieokreślony, nie pozwalając sobie
żadnej wymówki, nie
wspominając ani słowa o tem, co stało się przed dwoma laty.
Miałaby to być
istotnie delikatność tylko? a może dotknięta miłość własna? I
to i nie to, a

wszystkiego po trosze. Zygmunt, zwykły śmiertelnik, o
moralnych nerwach, nie
starganych życiem spokojnem w górskim zakątku, słowem o
temperamencie
umiarkowanym, upodobał sobie dziewczynę, która
przedstawiała wszelkie warunki
dobrej, poczciwej żony. Zdobyć ją, przychodziło mu z tem
większą łatwością, że
Wyřbowie i Grójeccy, to dwa gniazda wprawdzie, ale na
jednem drzewie, jednako
usłane.
W niej samej również nie spotkał oporu, co jedno z drugim
złożyło się na
stosunek, dający się nazwać miłością, nie tą jednak, jaką
spotykamy w powieści
lub

dramacie, a wreszcie nawet i w życiu, wśród ludzi, mających
do podniecania swych
namiętności o wiele szersze pole. Buczyn i Klonowice, to nie
Paryż i Londyn.
Inni ludzie, inne pragnienia i ambicje, bo inne nerwy. Teraz
więc, gdy Janiną
oświadczyła stanowczo, że wszystko ma pójść w zapomnienie,
Zygmunt, nieskłonny
do kręcenia karku, uznał to za. słuszne i konieczne. Rewolwer
lub wytryol, ani
na chwilę nie przyszły mu do głowy. Od paru tygodni
oswojony z tą myślą, równie
chętnie jak dawniej do Klonowic jeździł, tem bardziej, ze to
wypadało z

przyjętej roli, a dziś najspokojniej pod oknem, ze Stasia gawędził.

— Doprawdy, pan jesteś dobry chłopiec — mówiła dziewczyna — mnie pana serdecznie żal.

— A to czemu? — zapytał zdziwiony.

— Wam wszystkim zdaje się, że ja, taki dzieciak, nic nie widzę i nic nie rozu-

miem. A tymczasem ja jeszcze wtedy, wiesz pan, przed Krakowem, domyślałam się, że pan się w Jance podkochuje.

— To już tak dawno, zapomnieliśmy oboje — mówił Zygmunt.

— Me zupełnie podobno zapomnieli/a przynajmniej nie wszyscy — zaprzeczyła filuternie, szczerząc białe ząbki.

— Zapewniam pannę Stasię, że tak jest.

— Pannę Stanisławę, jeżeli można prosić. — Będę pamiętał.

— Co uchodziło z panna Janka, to nie uchodzi ze mna.

— Pani się gniewa?

— Gniewać się niema o co, tylko że nie na to noszę już długą suknię, aby mnie uważano za dziecko.

— Zupełnie słusznie. Ale dlaczego mnie pani żałuje?

— Dlatego, że Janka dała panu arbuza, a pan sobie bardzo ładnie postąpiłeś, na-

wet się na nią nie gniewasz. Jabym tak nie umiała.

— Przedewszystkiem pannę Stasię... to jest pannę Stanisławę przepraszam, ale nie dostałem arbuza. Przecież się nie oświadczałem.

— To na jedno wychodzi.

— Zupełnie co innego. Wreszcie, kto wie nawet...

— Cóż?

— Widzi pani, co kiedyś mogło się nam wzajemnie w obojgu podobać, to samo dziś, po dwóch latach....

— Tylko proszę nie obmawiać Janki, w niej nic niema takiego, coby się mogło nie podobać.

Roześmiał się Zygmunt na tę prostotę kochającej siostrzyczki.

— Czyż ja wytykam w niej wady? Cokolwiek się stało — mówił teraz serio — w obec mnie panna Janina nie potrzebuje obrońcy, przepraszam panią, nawet w sio-

strze rodzonej. Cenię ja zawsze tyle, co dawniej, ale... warunki w jakich się tam w Krakowie znalazła, widocznie wywarły na nią wpływ niezatarty, zmieniły z gruntu jej usposobienie.

— Powiedz pan po prosta. spotkała ta kiego, który się jej bardziej podobał, aniżeli....

— Aniżeli ja. To zupełnie naturalne. Ale nie o to mi chodzi. Panna Janina w wyborze swoim nie liczyła się, że jest... Wyřebianką.

— Widzę, że pan za ojcem moim powtarzasz, jak za panią matką pacierz, a wszystko

to pochodzi z nieszczerości. Dobrze udajesz obojętność, a jednak masz do niej.

żał, że dziś, w dwudziestym roku życia zapomniała o starych dzieciństwach. Czy nie tak?

— Panno Stasiu — rzekł Zygmunt, lekko ujmując jej rączkę — nie zastanawiasz się, jak ważnym czynnikiem wzajemnego przy-

wiązania jest jednolitość poglądów na warunki społeczne, w jakich urodziliśmy się i w jakich żyć nam wypada. Ja nie potrzebuję za ojcem twoim powtarzać, bo miałem przecież swojego. Mówisz, że mam żal do siostry, a zapominasz, że ten żal musiał skończyć się z chwilą, kiedy ona samowolnie oderwała się od wspólnych pojęć naszych, mogę powiedzieć, od wiary naszej. Proszę mi jednak powiedzieć, ale szczerze.

— Słucham.

— Tem szczerzej, że na twojej odpowiedzi może... zależeć mi więcej, aniżeli sądzisz.

— Ciekawarn.

— Pani także bawiła dwa lata w Krakowie, a chociaż wróciłaś wyższą, kształtniejszą, słowem piękniejszą...

— Bardzo proszę — przerwała Stasia, rumieniąc się i odbierając rękę.

— Wróciłaś jednak tą samą Wyřebianką i Sanoczanką, czy prawda?

Dziewczę milczało.

— Zdaje mi się, że gdybyś była ty spotkała jakiegoś tam doktora, chociażby doskonałego i pięknego jak Apollo, to jeszcze dla niego nie zapomniałabyś, że Wyřebowie od wieków zrosli się z innym światem, że swobodnie mogą tylko w naszym sanockiem powietrzu oddychać, wśród ludzi, których serca biją wprawdzie nie tak gwałtownie, jak tam po miastach, ale za to równiej i trwalej, którzy, znając się z sobą dobrze, nie potrzebują się dopiero poznawać i, jako obcy, do siebie przywykać, lub wiary w siebie wzajemnie nabierać. Panno Stasiu, powiedz szczerze, czy ty postąpiła byś tak jak panna Janina ? Zwrot ten zastał dziewczynę nieprzygotowaną. Żywa i z usposobienia mało reflektująca, być może, w innym razie, nie liczyłaby się z odpowiedzią. Ale Zygmunt mówił, że mu na tej odpowiedzi wiele zależy. Czyżby on, dotykając sprawy

siostry, nie siostrę miał jednak na myśli? Czyżby żądał, aby Stasia naprawiła błąd Janki?

— Nie zastanowiłam się nad tem — rzekła z zakłopotaniem po chwili namysłu —
ale... zdaje mi się, że ja... nie chciałabym się ojcu sprzeciwić. Trudno obliczyć, ile w tych słowach było szczerości, a ile kobiecej finezyi.
Jednak nie broniła teraz swej rączki, która Zygmunt ucałował dwukrotnie.
Zanadto Stasia kochała Jankę, aby pragnęła wyżej nad nią własne stawiać widoki,
ale wszakże kampania Zygmunta z nią była już ostatecznie skończoną, ojciec zaś
tak lubił młodego sąsiada. Uratować go dla rodziny Wyrębów, znaczyłoby może
ogłaskać starego, ułatwić drogę Rzepskiemu i siostrze szczęście ocalić? Przecież
nie byłoby to tak ciężką ofiarą z jej strony, a może nawet....
Wówczas przed

dwoma laty, Stasia myślała : „Jaka ta Janka szczęśliwa! Taki ładny chłopiec”.

Lecz w tej samej chwili, przez główkę jej, przeleciała myśl inna jak błyskawica.

A jeżeli ojciec nie ustąpi, jeżeli Janka z czasem Henryka zapomni i do Zygmunta powróci? I zlekła się sama siebie, niby złodziej na gorącym uczynku schwytyany.

Jeżeli on istotnie tak myślał, czy wolno jej było pozwolić pocałować się w rączkę, już na ten rachunek? Nie miała wprawdzie do Zygmunta żalu, ale jednak chciałyby te pocałunki odebrać.

Turkot przed domem przerwał jej refleksje. Szymon z doktorem przyjechał.

Stary, poczciwy doktor Baliński, z powiatowego miasteczka, był w prawdzie przyjacielem ludzkości, ale jeszcze jednym wrogiem wszelkiego postępu, nie wyłączającym nawet nauki medycznej.

Przeciążony obowiązkami względem licznej rodziny, nie mając dostatecznych na jej utrzymanie dochodów, szukał innych źródeł zysków godziwych, jak na przykład w wydzierżawieniu ziemi pod kartofle i owies, w handlu, czem i jak się dało, w zwykłym nawet kupiectwie, polegającym na tak zwanym sklepie chrześcijańskim, który ostatnimi czasy w miasteczku założył, przyjmując doń żonę i córki jako pomocnice i współpracownice. Rzecz prosta, rozerwany wśród tylu różnorodnych zajęć, ani czasu, ani głowy mieć nie mógł do badania nauki, śledzenia za jej rozwojem, który zresztą jako zbyteczny uważał. Ludzie — zdaniem jego — od początku świata rodzili się i umierali jednako, to też w razie potrzeby, zawsze te same środki należy do nich stosować. Nie mniej był doktor Baliński jedyną w okolicy ucieczką — w braku innego. P.

Marek, sam zawsze zdrów, z zasady

nie wierzył w lekarstwa, oprócz kwiatu lipowego i rumianku.
Nerwy, migreny, to
modne choroby, wymyślone przez bogatych i próżniaków,
którzy mają do zbytku
czasu i pieniędzy, na włóczenie się po niemieckich badach.
Jeżeli po Balińskiego
w niektórych wypadkach posyłał, to nie tyle przez wiarę w
skuteczność jego
recepty, ile, że lubił starego doktora i chętnie z nim czasem
przegawędził
godzinę.

I teraz, po załatwionej konsultacji, zabrał go do kancelaryi.
— No i cóż mój stary, jakże tam znalazłeś żonę? — pytał.
— Nic groźnego, nie kochany panie — z pewnością siebie
decydował medyk — struły
się po prostu kobiety na miejskiej kuchni, a dziś to bokiem
wychodzi. Widziałem
i panienki, ale że młode wiec na nich nic nie znać. Żona ma
katar żołądka, a to
rzecz nie straszna. Trochę dyety,

mleko, jeszcze lepiej kwaśne, a przyjdzie do siebie. Niech się
kochany pan tem
nie trwoży, na moją odpowiedzialność. A teraz, zapytać
chciałem, czy nie mógłbym
dostać ziemniaków, tak z pięćdziesiąt korcy?
— Zaraz doktorze, skończmy jedno — przerwał p. Marek.

— Bo to uważa kochany pan — niezważając, ciągnął doktor
— żona mi wyrachowała,
że sprzedając w mieście na garnce...
— Dobrze, dobrze, pomówimy o tem — obstawał pierwszy
przy swoim — ale naprzód
chcę wiedzieć z tym katarą, bo co prawda nie rozumiem, jak
można go mieć w
brzuchu, słyshałem zawsze o nosie, kiedy się naprzykład nogi
przemoczy.
— W brzuchu nie w brzuchu — tłumaczył Baliński — to jest
katar, inaczej, nieżyt
kiszek.
— Ba, kiszek! a gdzież kiszki jeśli nie w brzuchu ? Wreszcie
mniejsza, gdzie to

tam siedzi, ale, mi kobieta bardzo z sil spadła, wyschła, nie
jada.
— Sił nabierze, utyje i jeść będzie jak nigdy, niech tylko przez
parę tygodni
leczy się kwaśnem mlekiem, ale bez śmietany, uważa kochany
pan, żeby było
zupełnie chude.
— A recepty żadnej ?
— Nie potrzeba, po co truć się mixturami.
— To słusznie co prawda.
— Więc proszę być spokojnym, a co do ziemniaków, jakże?
Na tem skończono naradę, której epilogiem był kwit, wydany
na kartofle, bo cenie
bardzo przystępnej, za należność płatną w najbliższej
przyszłości. Doktor został

na kolacyi. Zadowolony z dobrego nabytku, za który czekało go uznanie ze strony żony i córek, w najlepszym humorze żartował i zachęcał Kaziunię do kwaśnego mleka, a kiedy ta, istotnie słaba,

wstała od stołu i poszła do swego pokoju, jeszcze uspokajał męża i panny, zapewniając, że dobry humor i sen także połowę kuracyi stanowić będą.

Było więc wszystko na razie w porządku. Balinowski odjechał, za nim Zygmunt, wiedząc, że p. Marek z nocy dnia robić nie lubi, pożegnał się także, acz tem niechętniej, że dziś tak przyjemnie gawędziło mu się ze Stasią, której temperamet i dowcip w porównaniu z sentymentalnością Janiny, widocznie bardziej przypadają do upodobania sąsiada.

W krótkce potem cisza zaległa we. dworze. Zdawało się, że śpią wszyscy. Tak przynajmniej myślał stróż nocny, który podług instrukcyi Szymona, w miarę jak zbliżał się od gumien do dworu, coraz delikatniej grzechotką wywijał. Nie oszukał tem jednak opiekuńczego anioła rodziny Wyrębów, co zleciał przez cienie nocy i czujniej od tamtego, bo z wyższych

rozkazów, Klonowicom stróżował. A on dostrzegł tu nieporządków, którym pora była zapobiedz.

Jedynie p. Marek, na skórze łosiowej, chrapał w śnie twardym.

Nie dziwna, miał

czyste sumienie, a od jutra nie wiele wymagał. Niechże śpi spokojnie tymczasem,

boć mu się odpoczynek za trudy życia należy. Ten człowiek patrzy na wszystko

szeroko. Nie winien, że źle widzi niejedno. Gdy przyjdzie

pora, anioł Wyrębów tę

kataraktę zdejmie mu z oczu.

Stasia marzy w łóżeczku. Dziwne w niej grają procesy.

Prostota dziewczęcia gubi

się już w intyngniach kobiecych. Widok klęczącej przed Matką Bożą Janiny, jej

modlitwa gorąca, przerywana westchnieniem duszy

stroskanej, trwoży dziewczynę,

roztwiera jej oczy, że nie same tylko rozkosze w miłości. Gdy

znów o Zygmuncie

pomyśli, odwagi nabiera. Boi się, że droga stroma do celu,

widocznie

przykra czasami, ale cel taki ciekawy, tajemniczy jeszcze, tem ponętniejszy.

Wśród tych myśli, dziewczę niepewnością strudzone, oczy wreszcie przymyka i

słodko zasypia. Niech śpi spokojnie i ona. Wszak nic jej złego nie grozi.

Gorzej dzieje się z Janiną. Ta się już łudzić przestała, serce jej rozdarte.

„Czcij ojca twego”, to przykazanie, o którym nie zapomniała ani chwilę, więc nie ma żalu do ojca, nie sądzi, ani rozbiera postanowień rodzica, ale boleje nad smutną koniecznością, która go do nich zmusiła. Jest dobrą córką, więc w tej woli siłę wyższą uznaje. Anioł nie przerywa jej modlitwy, czeka cierpliwie, a gdy już od klęcznika powstała szepce do ucha: "Idź tam do chorej matki, to sprawa od twojej pilniejsza".
W zielonym pokoju wisząca przed świętym obrazem lampka oliwna słabiuchne światło roztacza. W półmroku bły-

szczą chorobliwym blaskiem oczy Kaziuni, która cierpi bardzo. Właściwie nic ja nie boli, nic nie dolega, a jednak czuje, że siły traci, że jej oddech cięższe, żywotność zamiera. I lęka się, nie o życie, ale o rodzinę, o biedną córkę, której zamiast szczęścia, raczej serdeczną klęskę swą nieoględnością sprawiła.
Jakby w porę, cichutko uchylają się drzwi i Janina zbliża się na palcach do łóżka.
— Nie kładłaś się jeszcze, dziecię moje? — słabym głosem pyta matka.
— Nie mam, spać mi się nie chce. Ale mama także nie śpi?

— Nie mogę Janko. Dobrze żeś przyszła, myślałam o tobie.
Bardzoś biedna, co?

— To źle mateczko, że się mną martwisz; może dla tego
zasnąć nie możesz? Jam
zdrowa, biedę moją łatwiej mi znosić.

Uklękła Janka przy łóżku i chude ręce matczyne w swe ciepłe
dłonie ujęła.

A ręce te od niemowlęctwa znała tak dobrze. One kiedyś
naleństwu przewijały
pieluchy, one rozczesywały pukle włosów złociste, one Jankę,
gdy grzeczna była,
głaskały po dziecięcej twarzyczce. A dziś, od kilku tygodni,
jakże te ręce nie
podobne do tamtych. Ciało wyschło, zmarszczyła się skóra,
gdyby krew z nich
uciekła, tak blade a chłodne w dotknięciu. Nie znając się na
tem Janina, nie
umiejąc ocenić zdania starego lekarza, strwożyła się wielce.
Byłażby istotnie
bardzo chora, miałożby z niej życie tak szybko a
niespodzianie uciekać? Na tę
myśl rozpląkała się w głos, a w jej łzie każdej były dwie łzy,
bo dwa na raz
źródła żalem w sercu dziewczyny wezbrały. Kochała matkę i
kochała Henryka;
śmierć matki, to ostateczny wyrok na jego utracenie.
Zrozumiała Kaziunia ten żal podwójny i mimo, że się jej serce
ścisnęło, jęła
córkę pocieszać.

— Nie upadaj dziecię na duchu, Bóg dobry, gdy zechce,
wszystko złe od nas
odwróci. Słaba jestem, to prawda, bardzo słaba, a jednak...
czuję jeszcze siły
do życia, nie dawno, w Krakowie, byłam zupełnie zdrowa, tu,
tak nagle, z każdym
dniem coś ze mnie ubywa. Widzę, że doktor nie poznał się na
mojej chorobie.
Tyle pochwał słyszała o Henryku Janina! Gdybyż ojca
uprosić, aby go pozwolił do
matki sprowadzić. Ale on nie zechce, dwuznacznie ztąd
wnioski wyprowadzać
będzie. Nawet matce tej myśli poddawać nie trzeba.
Na czatach, anioł Wyrębów podsłuchał dziewczynę. Snać na
to tylko czekał, bo
teraz szybko uleciał.

Przez kilka dni następnych, Baliński regularnie do Klonowic
przyjeżdżał.
Zaniepokojony p. Marek coraz groźniejszym

stanem Kaziuni, jakkolwiek wbrew przekonaniu, uciekał się
jednak z konieczności
pod skrzydła nauki, w którą nie wiele wierzył. Stary doktor, z
początku, obstawał
przy katarze kiszek Karlsbad na przyszłość zalecał, ale w
miarę ciągłego postępu

choroby, kręcił głową, i w końcu, przed mężem zwierzył się z powątpiewaniem w samego siebie.

— Nie zmieniam zdania — mówił — tylko mi te rzeczy idą tak szybko, że zaczynam się lękać o katastrofę. Czyń co chcesz kochany panie, ale ja na siebie

odpowiedzialności nie biorę.

— Więc co robić? — przerażony p. Marek zawołał — cóż ja mogę poradzić, jeżeli ty doktorze rady znaleźć nie umiesz?

— W takich razach zwołuje się consilium. Cztery oczy widzą więcej niż dwoje — odparł doktor.

W tej chwili do kancelaryi ubiegła zapłakana Stasia, i wzywała panów do

matki. Chora, tracąc szybko siły w ostatnich dniach, teraz była w stanie omdlenia.

Dopadł łóżka p. Marek i obok. Janki ukłęknał. Widział nareszcie jasno

bezskuteczność środków Balińskiego. Przejął go strach wielki. Poczynał wierzyć,

że Kaziunia może umrzeć, a on był na to bezsilnym. Stary zakrył twarz i płakał.

— Tu płacz nic nie pomoże łaskawy panie — rzekł Baliński, zdobywając się na stanowczość, — działać trzeba dopóki czas, żądam drugiego lekarza, niema chwili czasu do stracenia

Chora była ciągle nieprzytomna. Podniósł się p. Marek, za nim Janina.

— Kogoż wezwać i z kąd — zawołał — jeżeli nie późno?

— Mamy Rzepskiego o dwie mile drogi — nieśmiało odszepnęła córka.

— Rzepskiego? — zmarszczył czoło p. Wyręba — to być nie może.

— Ojczy mój, — z wyrzutem rzekła z cicha Janina — czyż życie naszej matki nie

droższe od skrupułów? Pan Baliński domaga się drugiego doktora, a wiec

przypuszcza, że są jeszcze środki ratunku, tylko on ich znaleźć nie umie;

tamten może będzie szczęśliwszy, a ty tracisz drogie chwile i odmawiasz,

dlaczego?

— On już nigdy nie powinien być w naszym domu — mówił niewzruszony Wyręba — to

wbijałoby go w nowe, a fałszywe ambicje.

Teraz chora otworzyła oczy, zatoczyła wzrokiem po obecnych, ale po chwili znowu

spuszczając głowę w poduszki, zawołała z widocznym wysiłkiem: — Katujcie!

Baliński do łóżka pospieszył.

— Panie wszechmocny! — jęknął pan Marek z rozpaczą i chwycił się za głowę.

Ale wyszła już z równowagi Janina. Z dziwną energją siłą w pól ojca objęła,

i nie opatrzył się ten dąb stary, kiedy go słabe ręce córki
nieomal zanosły na
drugi koniec pokoju. Mówiła głosem drżącym ale dobitnym.
— Odsądziłeś go ojczy od prawa poślubienia twej córki, więc
też ona zdławiła
serce, bo w ślepej bierności nie waży się szemrać na twoje
przesady. Ale tu,
kiedy my wszyscy herbowi, razem z tym doktorem, nad
konającą matką niedołącznie
opuszczamy ręce, któż nas zapewni, że on, chociaż nie
szlachcic, chociaż może w
parcianej urodzony kołysce, nie okaże istotnej nad nami
wyższości? Ty ojczy,
przebacz mi, że to powiem, niepomny nawet na tak groźną
chwilę, instynktem tej
wyższości się boisz, czego jednak później mógłbyś żałować, a
więc ja, na
odpowiedzialność własną, chociaż nie w samolubnych
widokach, o nie! ja sama po
niego pojedę, bo przecież przez posłańca wzywać go chyba się
nie godzi.

— Co!?! — zdumiony p. Marek zawołał, ale zanim się
opamiętał, Janina z pokoju
wybiegła. Podążył za nią.

— Janka, zaczekaj! — krzyknął.

— Nie bój się ojczy, nie obrażę przyzwoitości — mówiła w
drugich drzwiach —
wezmę z sobą Szymona.

— Dziecko moje, zostań przy matce, to już ja chyba po niego pojedę.

Tu p. Marek ze łzą w oku przycisnął jasnowłosą główkę dziewczęcia do szerokiej piersi, a w chwilę potem — poganiaj, poganiaj! — na siedzącego przed nim w węgierskim wózku parobka, gorączkowo wołał. Parów czy wawóz, góra nie góra, biegły chyżo huculskiej rasy koniki, aż im wreszcie na grzbiety i żebra wystąpiła piana. Podskakiwał na siedzeniu p. Marek i kułakiem tarł oczy, ale nie od kurzu. Z niebywałą dotychczas śmiałością zgromiła go córka, wytknęła grzeszną ślepotę, a on to zrozumiał i uznał. Własnym

przeraził się błędem. Jeżeli Kaziunia umrze, dla braku ratunku, czyż nie na nim odpowiedzialność zacieży? To też nie kurz ale strach z żalem złączony, łzy mu wyciskał.

Już widać miasto w dolinie, ale — jak w Sanockiem — droga jeszcze nie raz wykręci się tarasami do koła. Gdybyż ,z wózka wyskoczyć i spuścić się ze skały na przełaj! Dzieciństwo. Tam ona umrze, a tu on na granitach kości pogrzebie.

Zmachane biegiem koniki zwalniać poczęły.

— Jedź, jedź, aby do miasta, niech padną! — wołał stary, a parobek jął zwierzęta batem okładać.

Wracał właśnie Rzepski z obchodu swych pacjentów, kiedy przed mieszkaniem, nieomal potrącił go dyszel rozpędzonego wózka. Rzucił okiem młody doktor i nie bez zdziwienia w przybyłym poznał, pana

Wyřebę. Zrozumiał, że tylko choroba w domu mogła go w te progi sprowadzić.

— Panie! — zdejmując kapelusz rzekł z uszanowaniem, i wysiąść staremu dopomógł.

— Doktorze! — zawołał stary — zanim się wytłómaczę i objaśnię cię o celu mego przybycia, powiedz, czy możesz mieć na zawołanie dobre konie, ale natychmiast?

Te — i ręką wskazał — niedalekoby zaszły.

— W tej chwili wydam rozporządzenie — odparł młody człowiek

—Za dziesięć minut będą gotowe. Proszę do pokoju. — Gościa na lewo do gabinetu wprowadził, sam przez się poszedł w podwórze, konie sprowadzić polecił i wrócił.

W gorączce p. Marek obliczał słowa, od jakich rozmowę zacząć mu należy. Ale snać zrozumiał Henryk ten kłopot, bo wszedłszy, sam go zeń wyprowadził.

— Domyślać się musze — rzekł nie czekając zaczeczki, — że zasłabł ktoś

Klonowicach. Pan bardzo szybko do mnie jechałeś.

— Zgadłeś pan. Moja żona chora dość dawno, ale w tych dniach stan jej pogorszył się tak groźnie, że... (tu kurcz ścisnął mu gardło) prawie już konająca.

— Czy być może?! zawołał Rzepki — wszakże niedawno zdawała się pani Wyrębina być zdrową zupełnie.

— Tak jest, to niepojęte. Doktor Baliński.....

— A, Baliński! — i lekceważący gest zrobił Rzepki, który słyszał o starszym, koledze jako o kupcu i aferzyście.

— Otóż on twierdzi, że to katar kiszek.

— W takim razie nie zrozumiałbym równie szybkiego postępu i niebezpieczeństwa — zarzucił młody.

— Obawiam się i ja, że nie poznał choroby, a ponieważ nie mamy blisko innego-

lekarza, pana zaś trudzić może mi się nie godziło...

— Krzywdę mi pan wyrządzasz — przerwał doktor — a nie dałem przecie powodu do

przypuszczenia, że nie umiem wypełniać mych obowiązków.

— Słusznie — rzekł stary i rękę wyciągnął. Zamknął mi usta.

— Nim siądziemy w drogę — ciągnął z zimną krwią lekarz — proszę mi wszystko o

ile można określić dokładnie. Pożądaniem jest, abym na wypadek zaopatrzył się w

jakieś środki, chociaż przypuszczalnie trafne, a może na razie pomocne. Kończył

za chwilę opowiadać p. Marek, kiedy usłyszano turkot. Konie zaszły przed dworek.

— To wszystko, co słyszę, daje mi istotnie wiele do myślenia

— mówił Rzepski,

przyczem jedną ręką tarł czoło, a drugą z szafy rmedykalia wybierał. W krótcie

potem rzekł:

— Muszę już wyprosić pana z mojego domu, w którym

prawdziwy zaszczyt mnie

spotkał, ale, konie gotowe i jam gotów. Tu, w tych progach,

życzę mu z całego

serca, aby droga moja nie była spóźnioną, ani daremną.

Albo się pomścił złośliwie, albo szlachetnością, zapłacił —

pomyślał teraz

stary, i z dworacką dystynkcją schyliwszy głowę, w sień przed

gospodarzem

wkroczył.

Chude, ale do biegu wprawne najęte konie, nie gorsze były od

Klonowickich

hucułów. Niespełna w godzinę, Wyręba i Rzepski dojeżdżali

celu, a myśli ich

dążyły ku wspólnemu pragnieniu, chociaż wprost

przeciwnymi torami: — jeżeli mi

Kąziunię ocali — mówił do siebie p. Marek — zapłacę go po

królewsku, bodajby mi

przyszło pół dobytku sprzedać. — A doktor myślał: — gdybyż

ją uratować: Dałbym

za to połowę majątku.

Pycha jednego z dumą drugiego, za bary się wzięły.
W chwili gdy wózek mijał wrota dziedzińca, zdawało się
Henrykowi, że widzi w
jednym z okiem sylwetkę Janiny. Odwrócił głowę, jak gdyby
chciał p. Markowi
oszczędzić przykrości. Wszakże on przybywał tu tylko jako
lekarz.

Do ganku pospieszył Baliński.

— Cóż? — jeszcze z bryczki zapytał Wyreba.

— Spała cokolwiek — odparł tamten — teraz dopytuje się o
pana.

— Pójdźcie panowi do mojej kancelaryi — rzekł drzwi
wskazując — ja muszę ją o
przybyciu p. Rzepskiego uprzedzić.

Ale to było zbyteczne, bo Janka, już wprzód do matki z
wiadomością zdążyła. —

Henryk przyjechał mateczko, tatuś go przywiózł, a on cię
zaraz uleczy, z
pewnością uleczy, zobaczysz.

Wszedł właśnie na palcach p. Marek i na te słowa się zbliżył.

— Mareczku,

pocziwy jesteś, flanko, podziękuj ojcu — szeptała Kaziunia
ledwie dosłyszonym

głosem — a gdy się stary nad łóżkiem pochylił, córka do
kolan mu padła, łkając

piersią wezbraną. Nadeszła Stasia i tarła mokre oczęta.

Wnet też dziwna otucha wstąpiła w stroskanego męża.

— Bóg da — mówił wzruszony — a wszystko jeszcze dobrze będzie. Wyjdźcie dziewczęta, pomódlcie się tymczasem w swoim pokoju, a ja tu przyprowadzę doktorów.

— Mężu, Mareczku, mnie już sił trochę przybyło — jak gdyby złudzeniem wzmocniona, chora mówiła. I nie dziw. Sił jej dodawała nadzieja, że się może teraz przyszłość jej dziecka rozstrzygnie.

Z bijącym sercem przyglądał się p. Marek ściślej auskultaeyi, jaką doktor Rzepski na Kaziuni odbywał. Więc wąsy targał ner-

wowo, niemogąc się wyroku doczekać, a gdy lekarze na uboczu w łacińskim języku porozumiewać się poczęli, śledził bacznie gesty i ton mowy młodego, z nich jednak złe musiał wyprowadzić wnioski, bo wyszedł z pokoju, i stanąwszy za drzwiami, ręce załamał. Nadszedł za nim Baliński, ale na zapytanie p. Marka, tylko smutno ramionami wzruszył. Stali tak obydwaj przez długą chwilę w milczeniu, gdy szybkim krokiem, z twarzą rozjaśnioną, wszedł Rzepski.

— Mam, mam, mam! — trzykrotnie zawołał.

— Mów pan, mów — trząśł go za ramię p. Marek. Baliński ciekawie oczy otworzył. -

— Najprostsza rzecz, w świecie — rzekł pierwszy — żona pańska zatrąła się arsenikiem, pochodzącym z tego zielonego obicia. — To mówiąc, podał szmat papieru, obdartego ze ściany. — A teraz, skoro

już nie mam żadnej wątpliwości co do źródła choroby, skoro to źródło usuniemy natychmiast, to reszta będzie nader łatwym zadaniem.

— A! niechże mnie! — zawołał Baliński.

— Doktorze, i ty się nie mylisz? — jednocześnie krzyknął p. Marek.

— Mogę pana najsolenniej zapewnić — uroczyście mówił młody lekarz — że p.

Wyrębina za dwa tygodnie wstanie z łóżka, a za miesiąc nie będzie czuła ani śladu choroby. Zaczniemy od przeniesienia jej z tego fatalnego pokoju. Zdrowe powietrze i niewinne środki do zupełnego uzdrowienia wystarczą.

W prawdziwej sprzeczności z samym sobą znalazł się teraz p. Marek. Dobroć serca,

który ten człowiek, z pozoru zimny, pozbawionym nie był, nie mogła w tych

warunkach nieprzełamać przesadów i uprzedzeń. To też, mimo że czuł się

upokorzonym, za pierwszym popędem, gotów

parweniusza gorąco uścisnąć, wyrządzoną mu kiedyś krzywdę nagrodzić!...

Ale doktor na to nie czekał. Zwycięstwo było zupełne, a to mu wystarczało, zanim

stary na pierwsze słowo się zdobył, on już z Balińskim do chorej wrócił i tu z

pomocą Szymona i służby, przeniesienia Kaziuni doglądał.

P. Marek przypomniał sobie, że tam, w różowym pokoiku, córki drżą w niepewności.

Pospieszył do nich.

— Janko, Staśka! Zawołał — matka żyć będzie, — a gdy obie rzuciły się do ojca z

radością, ten je całował a pieścił.

— Dzielny człowiek, Janko, ten Rzepski — mówił — ale po chwili, spostrzegłszy,

wyraz radości na twarzy córki, wnet dodał: — jaka szkoda, jaka wielka szkoda, że

to nie szlachcic! I wybiegł.

Janina rozplakała się, ale pocieszała ją Stasia.

— Widzisz, ojcu nie wypadało tak zaraz pokazać, że zmięknał, ale zobaczysz,

wszystko teraz będzie inaczej, niech tylko mama wyzdrowieje.

Za chwilę, już w innym pokoju, siedział p. Marek przy łóżku żony i czekał na

doktorów, którzy, zapewne dla porozumienia się co do dalszej kuracyi, wyszli do

kancelaryi.

Gdy z tamąd wrócił sam tylko Baliński:

— Gdzież p. Rzepski? — zapytał Wyręba.

— Spieszył się do chorych — odparł — odjechał i kazał pana pożegnać, ale proszę być zupełnie spokojnym, wiemy już teraz dobrze, co dalej robić.

Panienki, zobaczywszy przez okno odjeżdżającego Henryka, do matki przybiegły. F.

Marek był bardzo zakłopotany.

W ostatnich czasach źle się działo z młodym Wyłęba w Krakowie. Bezpośrednia tego, przyczyna była pewna Wiedenska, śpiewaczka estradowa w miejscowym tingel — tanglu. Raz tylko dał się Józef namówić jednemu z kolegów na przepędzenie wieczoru w tym zakładzie, a ten jeden niefortunny krok pociągnął za sobą, cały szereg z początku kłopotliwych, a w końcu smutnych następstw dla niego. Znane są manewra tych panien o podejrzanym wdziękach, co mimo całej moralnej szkarady, fantastycznym strojem, lubieżną piosenką a bezwstydnym gestem, podniecają zmysły nie rzadko winem odurzonego młodego człowieka. Artyzm wywiera zawsze mrok sobie właściwy, a przecie szansonistki i konnojezdki, jakkolwiek pośledniego rodzaju, jednak artystkami się zowią. To też nie bardzo dziwić się trzeba, że młody Józef Wyłęba, chociaż wychowany przez surowego ojca.

i arcymoralną matkę, gdy zoczył na estradzie ponętą Niemeczkę, jakby toczony kształtów, płomiennego oka i ust koralowych, wnet pomyślał: — jakież byłoby to szczęście zbliżyć się do tak uroczej, kobiety. — W prostocie młodzieńczej zwierzył się koledze ze swem niepodobnem według niego do zrealizowania życzeniem.

— A ile masz przy sobie pieniędzy? — zapytał przyjaciel.

— Kilkanaście reńskich.

Wiedenka w tej chwili śpiewała haniebną francuzczyznę kuplet, uplastyczniony nie dwuznacznymi ruchami: „ O Robert, o l'amour, qu'est ce donc que cela, o lali, o lali, o lali lonla."

Numer się skończył, śpiewaczka znikła za kulisami, ale zaraz potem weszła na salę. Radość przejęła Józefa kiedy na uczynioną, propozycję jego kolegi, artystka zajęła miejsce przy wspólnym stoliku. Nie wzywany znalazł się kelner z kartą po-

traw i win. Zamówiono kolację. Nic nie krepowało wesoło zapowiadającej się zabawy, tembardziej, że współbiesiadniczka odegrała już wyznaczone jej w programie numery.

Józef, w ogóle z kobietami nie oswojony, wreszcie
oczarowany wdziękiem, z
początku więcej słuchał niż mówił, a wzrokiem tylko wodził
nieśmiało po
pudrowanych ramionach i kolorowych trykotach, skąpo krótką
spodniczką
przykrytych. Ale diwa nie była trudną, zwłaszcza, że
młodzieńca przedstawił
przyjaciela: mein Freund, Gutsbesitzer. — Resztę zrobił
Goldeck, a tak,
zachwycająca znajomość została zawartą.
Wiadomym jest układ właścicieli podobnych zakładów, mocą
którego szansonistki,
karotujące gości, otrzymują część zysków, osiągniętych za
jadło i napoje. To też
aspirator musi być bardzo cierpliwym, bo zaledwie po
kilkunastu liba-

cjach wolno mu będzie marzyć o dopięciu celu. Zadaniem
śpiewaczki jest tak
umiejętnie administrować łaskami, aby nie tylko nie zrazić
ofiary, ale
przeciwnie, zapalać jej systematycznie zwiększać ku sobie.
W tym wypadku z Józefem sprawa była łatwa. Niemka, nie
szczędząc zalotności,
przyrzekła, swe towarzystwo nazajutrz, — a może nawet —
mówiła — przy blißzein
poznaniu...
Wytrawny w podobnych okolicznościach kolega młodego
Wyreby, nie miał interesu

reflektowania oczarowanego przyjaciela. Wszakże będzie mu na rękę przez dłuższy czas co wieczór, jeść i pić za cudze pieniądze. Kilkanaście reńskich pękło wprawdzie odrazu, ale znajdzie się przecież lichwiarz, który urzędnikowi na etacie, a synowi właściciela ziemskiego, nie odmówi pożyczki. I znalazł się istotnie. Józef następnego dnia pierwszy weksel podpisał, nie

przewidując, jak wszyscy jemu podobni, że od tej chwili, z jednej strony z namiętnością a z drugiej z lichwą pod rękę, bez tchu będzie musiał biedz ciągle tam, dokąd mu one biedz każą — aż padnie. Kilka tygodni wystarczyło, aby w piekło zamienić systematyczne i porządne życie młodego urzędnika. Goldeck i sznycle już nie wystarczały Wiedence. Przyszła kolej na skromne, potem coraz kosztowniejsze uponinki, wreszcie na gotówkę. Żydkowie, jak zawsze z początku, usłużnie znosili pieniądze, po pierwszych terminach, poprzestali na hojnie dopisanych procentach, później jednak nietylko coraz mniej udzielali kredytu, ale, jak gdyby za porozumieniem się, zaczęli o zwrot udzielonych pożyczek szturmować. Na domiar złego, Niemka, bystrego na te sprawy

oka, domyślając się kłopotów protektora, z każdym dniem,
bardziej drożyła się ze
swem towarzystwem, co niepokoiło rozhukanego

młodzieńca, drażniąc zarazem jego ambicje. Naiwny, rościł
prawa do wyłączności.

W takich warunkach nadszedł dzień, w którym Józef został
wystawiony na ciężką
próbę. Poprzedniego wieczoru, artystka zagroziła zerwaniem,
jeżeli nie otrzyma
przyrzeczonych już dawno pięciuset reńskich, rzekomo jej na
spłatę długów
potrzebnych. Jak ognia bał się Józef tego zerwania, zwłaszcza,
że — jak mówiła
Niemka — pewien młody hrabia czekał tylko na jej skinienie.
Bez straty czasu
należało zdobyć się na krok stanowczy. Z rana, przed biurem,
pobiegł na
Kazimierz, gdzie mu adres jakiegoś lichwiarza wskazano. Tu
nadspodziewanie łatwo
przyszło do porozumienia. Żyd, który twierdził, że zna starego
Wyrębę, przyrzekł
znaczną pożyczkę, przeznaczoną jakoby na wykupienie
drobnych weksli, i oznaczył
na wypłatę pieniędzy, wieczorną godzinę.

Uszczęśliwiony młodzieniec zdążył o właściwej porze do
biura. Popołudniu wezwano
go do gabinetu naczelnika. —

— Proszę to zanieść do banku — mówił tenże — i złożyć na nasz rachunek. Oto papiery i cztery tysiące reńskich. Dowody przyniesiesz mi pan jutro; dziś już pora spóźniona.

Bez cienia złych zamiarów spieszył Józef do banku, gdzie kasę zamykano o czwartej. W rynku spotkał jednego z najnatarczywszych wierzycieli, który w skandaliczny sposób domagał się pieniędzy. Zdawało się, że żyd rozmyślnie chce skompromitować na ulicy młodego człowieka, tak głośno wykrzykiwał a groził. Z trudnością zdołał, przyparty do muru dłużnik, sprowadzić go na boczną ulicę.

— Daję panu słowo honoru — mówił zmieszany że dziś zapłacę wieczorem. Czekaleś parę tygodni, poczeknijże jeszcze parę godzin.

— Nu, zobaczymy to słowo honoru — rzeki lichwiarz, przeciągając ręką po brodzie. Ja do wieczora jeszcze poczekam, ale jeśli nie będzie pieniędzy, meine Munes, żeby tak moje dzieci były zdrowe, jutro rano z wielkim gwałtem pojedę do ojca.

Nad tę żadna inna groźba nie mogła być cięższa dla Józefa. Powtórzył słowo honoru i pobiegł dalej. Już miał wchodzić do banku, kiedy rzuciwszy okiem na

dorożkę z budą podniesioną mimo pogody, dostrzegł
Wiedenkę, jadącą z młodym
nieznajomym mężczyzną. Zagryzł wargi z zazdrości i pod
pierwszem wrażeniem,
puścił się za nimi zdwojonym krokiem. Ale wnet gonitwa
okazała się daremną.
Powóz zniknął na pierwszym rogu.
Kiedy w chwilę potem zdyszany i wściekły stanął przed
okienkiem kasjera — już
księgi zamknięte, proszę przyjść jutro, usłyszał odpowiedź.

Biorąc rzeczy ściśle, powinien by! urzędnik zgłosić się
chociażby do prywatnego
mieszkania naczelnika i zameldować, że pieniędzy wnieść do
banku nie zdąży!. Ale
nie wymagać podobnej ścisłości od młodego człowieka,
którego myśli goniły
wyłącznie za zgubiona dorożka. Puścić się w ślad za nią i
odszukać, to wszakże w
Krakowie możliwe. Tak też i uczynił. Przejechawszy kilka
ulic, zatrzyma! się
przed restauracją, gdzie zapytany garson objaśnił go, że przed
kwadransem pan z
panią, taką a taką. udali się do, gabinetu na pierwsze piętro.
Nie miał już
wątpliwości. Oburzony, na razie cofnąć się postanowił, a
potem, zapomnieniem
niewierną ukarać, Niestety nie było nikogo, któryby go za rękę
pociągnął. Sam,
waha! się przez chwilę, namyślał, i — uległ pokusie.

— Postaraj się koniecznie — mówił do garsona, papierek wsuwając mu w rękę — aby tą pani wyszła do mnie na korytarz.

— Zdaje mi się, proszę pana — rzekł tenże, mrugając okiem — że to tinglówka?

— Tak jest.

— Powiem jej, że przyszedł ktoś z interesem od dyrektora.

Niech się pan schowa w

tamtym gabinecie. — I wskazał drzwi.

Krótko ale gorąco rozmawiał Józef z Wiedeńką, która warunki określiła stanowczo.

Do namysłu i refleksyi nie było czasu. Urzędnik, licząc na wieczorną wypłatę,

naruszył powierzoną mu kwotę, w zamian za co artystka przyrzekła mu solennie, że

wszystko wróci do dawnego porządku.

— Zjem tylko obiad, i więcej nic — mówiła — wie ich Gott liebe.

Wypadek toruje zawsze drogę następnym wypadkom. Fatalny

krok Józefa, miał być

dlań istotnie tym pierwszym z francuzkiego przysłowia. Żyd

na Kazimierzu odłożył

wypłatę do następnego

dnia, gdyż jeszcze — jak mówił — nie dostał pieniędzy. A

tam, na drugiej ulicy,

czekał już drugi lickwiarz, gwarantowany słowem honoru.

— Gzy tak czy tak, nie mam całej sumy do banku — myślał Józef — a żyd gotów do ojca pojechać. — I tej logice posłuszny, weksle wykupił. Na pozór uspokojony, szedł teraz do swego mieszkania, ale innemi niż zwykle drogami. Chociaż wiedział, że nazajutrz brak połowy pieniędzy pokryje, to jednak, chwilami, przejmował się trwogą. A nuż spotka naczelnika, który papierów zażąda? Więc wymknął się ze śródmieścia, planty nawet wyminął. Zaułkami przyszedł do siebie, a bojąc się coraz bardziej, drzwi zamknął za sobą, klucz wyjął i na klamce ręcznik powiesił. Gdyby kto nadszedł, nie odezwie się. Z Niemką umówił się w tinglu o jedenastej, miał więc jeszcze kawał czasu

przed sobą. Wyciągnął się na łóżku, ale zasnąć nie mógł. Prawie już ciemno było w pokoju, kiedy ktoś do drzwi zapukał. Zakołatało serce Józefowi, ale nie poruszył się na łóżku. Strach ma wielkie oczy. Przeczekał chwilę, a gdy już usłyszał kroki ze schodów, ostrożnie okienko uchylił i wyjrzał. To listonosz. Teraz cichutko otworzył drzwi i list wyjął z blaszanej skrzyneczki. Zamknąwszy się znowu, o zmroku, przy oknie, odczytywał pismo. Janina donosiła mu o ciężkiej chorobie matki, o grożącym niebezpieczeństwie.

„Ojciec liczy na Bałińskiego — były słowa listu — który
widocznie nie poznał się
na chorobie. Z każdym dniem gorzej naszej drogiej mamie,
jesteśmy wszyscy jak
piorunem rażeni. Grdybyż ojciec dał się przekonać i wezwał
Henryka, ale znasz
jego skrupuły i upór. Nie trać chwili czasu braciszku i
pierwszym pociągiem
przyjeżdżaj,

we troje będzie nam różniej, może go łatwiej przekonać
zdołamy". Na dole był
jeszcze dopisek, słabo czytelny, jak gdyby łzami piszącej
zalany: „Józiu, mama
prawie umierająca, przyjeżdżaj natychmiast."
Dreszcz przeszedł Józefa. On bardzo kochał matkę. Niby,
ogłuszony hiobowa
wieścią, na zegarek spojrzął. Za parę godzin pociąg ostatni
odchodził. Miał
czas. Zebrał myśli. I teraz dopiero opamiętał się, że do dnia
następnego był
niewolnikiem. Tak jest, gdyby nawet wiedział, że matka skona
przed jego
przybyciem, on się ruszyć z Krakowa nie może.
W gruncie dobry chłopiec, raczej tylko sporadyczną trawiony
gorączką, teraz
jakżeby po zażyciu silnego środka, uległ reakcyi. Gdy
wspomniał na dom rodzinny,
matkę może już martwą w tej chwili, na ojca, na siostry, niby
czyste lilijki,

gdy sam z sobą zrobił pobieżny rachunek i spostrzegł, w jak brudnem było-

cie ugrząz, chwycił się za głowę i z głośnym płaczem upadł na łóżko.

Ale młodość nie poddaje się łatwo. Wreszcie, wszystko jeszcze dobry wziąć może
kierunek Matka nie umrze — pocieszał się po chwili —
pieniądze jutro zapłacę i w
porę do Klonowic przyjadę. O Wiedence nie myślał.
Po schodach znów ktoś szedł poświstując. Poznał w nim Józef
kolegę, codziennego
towarzysza wieczornych godzin w tinglu. Zanim zdążył
zastanowić się, jak sobie z
nim postąpić, ten szarpiąc za klamkę, wołał przez drzwi: —
Józiu, otwieraj,
wielka nowina!
— Co się stało ? — pytał wpuszczając gościa.
— Twoja pani z hrabią drapnęła kurjerem do Wiednia.
Widziałem na własne oczy.
— Szczęśliwej podróży — odparł Józef — ja za nią nie
pojadę.

— Co ja słyszę? — mówił zdziwiony kolega — czyżbyś wołał
tę małą brunetkę
Tyrolkę?

Ale Józef nie pozwolił rozwodzić się przyjacielowi. W paru
słowach zakomunikował
mu wiadomość otrzymaną z domu.

— Więc jedziesz naturalnie, zaraz?
— Jutro. Mam jeszcze coś w biurze załatwić.
— I nie żal ci Wiedenki?
— A, nie mów mi o niej.
— Zapewne, nie pora na to, wreszcie dobrze się stało,
oszczędziła ci pięćset
reńskich.

Jak pod szafotem stał Józef. Inaczej to zrozumiał kolega i, nie
widząc tu dla
siebie pola do działania, przyjaciela opuścił.
Wśród wstydu, żalu i obaw, bez zmrużenia oka, Józef
doczekał się rana. Jeszcze
przed umówioną godziną pobiegł na Kazimierz.

— Mój mąż w bóżnicy — mówiła żydówka — zaraz wróci.
Wiekiem wydawało się pół godziny dla młodego człowieka,
zanim nadszedł
lichwiarz.

— Przepraszam pana mówił tenże — ale ja nie mogę dać
pieniędzy.

Józef zbladł. — Jakto? — zawołał, a wargi mu się trzęsły.
Spostrzegł żyd to pomieszanie, ale snąc przyzwyczajony do
podobnych sytuacji,
ciągnął z zimną krwią, — Ja obiecałem to prawda, ale skąd ja
miałem wiedzieć, co
pan ma tyle długów?

— Ja muszę mieć pieniądze, słyszysz pan, muszę! — dzikim
głosem zawołał Józef i
dwoma rękami silnie lichwiarza za ramiona pochwycił.

— Nu, co to, gwałt? co to muszę? — i żyd wyrwawszy się,
parę kroków odstąpił.

Spostrzegł się przestraszony młodzieniec, że tą drogą celu nie dojdzie. — Panie

— mówił pokorniej — ja liczyłem na pewno, gdybym był wczoraj wiedział, że nie

dasz mi pieniędzy — tu zawahał się

— ale dziś... niema ratunku, stać się

musi wielkie nieszczęście. — Zakrył twarz i upadł na krzesło.

— Ja nic nie poradzę — zawsze zimno żyd mówił, a żona jego, tej scenie nie rada,

dorzucała z cicha swoje uwagi żargonem.

Teraz zerwał się Józef, jakgdyby z nowem postanowieniem.

— Słuchaj pan, wydałem

wczoraj powierzone mi w biurze pieniądze, licząc, że dziś je pokryję. Jeżeli mi

nie dasz chociaż dwóch tysięcy w przeciągu godziny, w łeb sobie strzełę.

— Nu, jak tak jest, to niech pan telegrafuje do ojca.

— Nigdy!

— To dobry, porządny człowiek, ja go znam, on za syna zapłaci.

— Wiec nie dasz pan? — krzyknął Józef.

— Ja nie dam, ale dobrze radzę, przed ojcem nie ma wstydu.

Młodzieniec wybiegł, a żyd, który znał istotnie starego

Wyrebę, szwargotał z

żoną, potem myślał jeszcze chwilę i poszedł na stację telegraficzną.

Józef biegł prawie nieprzytomny do siebie, a kiedy był już w swoim pokoju, bez namysłu z szuflady wyjął rewolwer. Na to otworzono drzwi; w nich stanął Henryk Rzepski.

Szybko i bardzo wyraźnie postępowała rekonwalecencja p. Wyrębiny. Za ledwie parę dni upłynęło od bytności Rzepskiego w Klonowicach, a nikt już w domu nie wątpił, że młody lekarz nie tylko doszedł

przyczyny choroby, ale i środki usunięcia jej równie trafnie zaordynował.

Zawstydzony Baliński wykonywał teraz polecenia swego kolegi, w niczem nie działając na własną odpowiedzialność. Próbował jednak tłumaczyć się.

— Co tu się dziwić kochany panie — mówił do p. Marka — młody człowiek, a jak słyszę zasobny, nie ma nic na głowie, prócz nauki i pacjentów. Świeże studja, na zawołanie pisma z całego świata, a co najważniejsze, swobodna myśl. Niechby on tak był na mojem miejscu, niechby zobaczył, co to żona, córki dorosłe i chłopcy w szkołach. W kłopotach kochany panie, a co gorzej wdługach, tak dobrze doktor patrzy na chorego fałszywie, jak szewc porządnie butów nie zrobi, bo mu dratwa z rąk wypada.

— Nie trap się już, nie trap doktorze — pocieszał starego p. Marek — rzecz w tem,

że Kaziunia będzie zdrowa, a było źle, brał mnie okropny strach.

I wspominając ową ciężką chwilę, do Janiny myślą mimowoli wracał. Czyżby takie było zrządzenie boskie? — mówił do siebie — toć gdyby nie to dziewczę, co już chciało samo po niego pojechać, jeszcze dzień dwa, stałoby się nieszczęście.

Wszakże i Baliński to przyznaje. Ale cóż stąd? — wnet reflektował — każdy robić powinien, co do niego należy; doktorem jest niechaj więc leczy. Zapłacę mu tak, aby pamiętał, że szlachcicowi uratował żonę. Tylko nic więcej! Widzę ja jasno, z czem tu baby do mnie teraz wyjadą; no, nie można się dziwić, ale im się to powoli z głowy wybije. Tożby się mój dziad w grobie przewrócił, gdybym córkę Wyřebiankę, jakiemuś Rzepskiemu za receptę sprzedał. Tak myślał p. Marek, ale korciło go bardzo, że z tym Rzepskim jeszcze nie za-

łatwił rachunku. Uznawał, że grzeczność każe znowu osobiście do niego pojechać,

do tej chwili jednak, nie mógł z domu od żony się ruszyć, ani przygotować potrzebnej kwoty.

Trzeciego dnia, nie zwierając się przed nikim, po konferencji z pachciarzem,

Balińskiego do pilnowania Kaziuni zobowiązał, a sam do miasteczka się wybrał. Tu

jednak przybywszy, strapił się niepomierne, gdy mu powiedziano, że doktor do

Krakowa wyjechał. — Czyby uciekał przedemna? — myślał — miałożby mu pochlebiać,

że jestem jego dłużnikiem?

I nie mylił się p. Marek. Henryk tryumfował istotnie, ale to był, tryumf

szlachetny. Jak ów ofiarodawca, co nie wymienia przy datku swego nazwiska, tak

on unikał podziękowań, a nie brał przecież w rachunek spodziewanego honorarjum,

do którego p. Marek, przeciwnie" wielką przywiązywał wagę.

O odzyskaniu panny

tą drogą nie myślał; nie mniej dotknięty wówczas przez szlachcica, dziś uznawał

się być wynagrodzonym za doznane upośledzenie, tem hojniej, że w usłudze jaką mu

wyświadczył, tkwiła tylko osobista wartość człowieka, na gruntownej, pracą

zdybytej nauce, a nie na nominalnem, po przodkach odziedziczonem szlachectwie

oparta.

Więc cieszył się zwycięstwem, a cieszyć się niem jak
najdłużej pragnął; należało
się spodziewać, że p. Marek nadjedzie z podziękowaniem i
zapłatą. Odrzucić te
ostatnią, małą, lub większą, było ze strony młodego lekarza
cokolwiek ryzykowne
i za śmiałe; przyjąć zaś i podziękować samemu, znaczyło
według niego tyle, co
pozbawić się uroku wyższości, nieobliczalnej na pieniądze. To
też Rzepski, wobec
takiego dylematu, za najwygodniejsze uznał skryć się przed
trudnym położeniem, w
myśl czego, dla zyskania na czasie,

bez poprzedniego zamiaru, do Krakowa na kilka dni wyjechał.
Niezadowolony z obrotu rzeczy p. Marek, do Klonowic
wrócił, a z wózka
wysiadając, spotkał w ganku Janinę. Bystry zazwyczaj, wnet
dostrzegł, jak gdyby
od płaczu zaczerwienione oczy córki.
— Janka, co się stało? — zapytał niespokojny — czy może
matka gorzej ?
— Nie tatusiu — odparła dziewczyna — przeciwnie, marna
się ma dobrze.
— To chwała Bogu; jednak coś ci jest, płakałaś? No mów,
mów — i przypuszczając,
że to zawsze sprawa sercowa, z zamiarem pocieszania, objął
córkę i ku sobie
pociągnął.
Ale ona mówić nie mogła, łkanie tłumilo jej słowa.

— Co ci jest moje dziecko? — zapytał ojciec tem bardziej zatrwożony.

— Tatusiu, nieszczęście; wielkie nieszczęście! — już z głośnym płaczem zawołała Janina.

— Bój się Boga, mójże! — trząśł córka stary. Nie był to jednak sposób wydobywania słów z zaleknionego dziecka, któremu uwięzł głos w gardle. Spozrzegł p. Marek papier w jej ręku, wydarł go i głośno czytał:

„Syn bankowe pieniądze stracił, chce sobie zastrzelić.” Tak brzmiał telegram lichwiarza z Krakowa.

Skazany, któremu toporem głowę ścinają, nie czuje bólu, bo nie czuje cięcia.

Zabija go już wstrząśnienie nerwów, wywołane razem subtelnie w centrum tychże nerwów wymierzonym. Śmierć Kaziuni, ruina majątku, utrata całej rodziny, nie dotknęłaby p. Marka tak strasznie, jak hańba Wyrębów, bo wiara w cześć tego nazwiska była mu droższą nad wszystko. Z chwilą kiedy musiał się jej pozbyć, czuł

się straconym tem niżej, wobec współczesnych, im wyżej we własnym pojęciu nad

nimi górował, Więc jak owemu skazanemu nóż błyskawicznie
paraliżuje cały system
nerwowy, tak wieść przeczytana naraz zdławiła w szlachcicu
wszelką świadomość
odebrała mu siłę wypowiedzenia choćby słowa skargi. Głowę
zwrócił, twarz
wykrzywił i stał nieruchomy tak długo, aż przerażona córka
szarpnęła go za
ramię. — Tatusiu ! tatusiu!
On milczał jeszcze, ale drżały mu wargi, na podobieństwo
sparaliżowanego, który
mowę postradał. Na pół już nieprzytomna dziewczyna,
wspięła się na palce i głowę
ojca rękami objęła. I teraz dopiero ten naturalny zresztą u
córki objaw
współczucia, dotknięcie ciepłutkich dłoni, a wreszcie jej łyzy
gorące, co na
twarz gdyby skamieniałego człowieka spływały, to wszystko
otrzeźwiło go jak
balsam cudowny. Powoli opamiętał się, uścisnął córkę i

głosem zdeterminowanego rzekł: — stało się, od dziś dnia nie
ma już prawdziwych
Wyębów. Widzę moje dziecko, zem się niesłusznie z tem
nazwiskiem drożył. Bądźże
mi spokojna, bom ja sorawę przegrał Twarz zakrył i
westchnął, ale tak ciężko,
tak bardzo boleśnie, jakgdyby mu w tej chwili serce na dwoje
rozdarto.
Znaczenia tych słów nie mogła nie rozumieć Janina, ale
chociaż doniosłą miały

dla niej wartość, to jednak ona nie myślała teraz o sobie. Na oczach siostry

stał obraz biednego brata, może już samobójcy.

— Czyż nie będziesz go ojciec ratował? — zawołała z rozpaczą.

— Jego nie — odparł po namyśle p. Marek — jego już nie ma, on dla mnie trup,

prawdziwy czy żywy, to obojętne. O mnie także nie chodzi, bo od tej pory

daremniebym bronił szlacheckiego honoru, z którego za podłą sprawą Józefa wyzuci

już wszyscy Wyrebowie. Sam siebie i przekonań moich oszukiwać nie będę. Jeżeli

trzeba to paskustwo, jak dziś nazywają, zamazać, to tylko dla was, dla córek

moich, którym dopiero w pole nie z pola. Chociaż! — i p.

Marek machnął ręką z

pogardą — pożał się Boże takiego zamazania.

— Więc co myślisz tatusiu, tu chwili do stracenia niema? — z najwyższym

niepokojem pytała Janina.

— Nic pilnego. Najprzód, matce ani słowa, toby ją zabić mogło. Pozór jakiś

znajdę, do Krakowa pojedę i z bankiem się porozumie.

Pieniądzy, wiadomo że nie

mam, wreszcie nie powiada żyd, ile tam tego. Trzeba będzie ułożyć się.

— Ale Józio, tatusiu, on się chce zabić!

— Takby zrobić powinien, takbym ja sam zrobił.

Szczere, czy tylko popędliwe były te słowa, niemniej musiały przerazić Janinę.

Widziała brata skazanym na śmierć haniebną, sercem kobiety i siostry pragnęła go ratować, ale ratunek nie nastęczał się znikąd. Jedyne matka byłaby mocną ojca przekonać a w ostatnim razie uprosić, ta droga jednak wobec jej choroby stawała się istotnie zamknięta.

P. Marek, wyrok wydawszy, nie dopuszczając dalszej dyskusji, do . Kaziuni na powitanie poszedł. Janina stała chwilę złamana, poczem, czepiając się ostatniego środka, Szymona odszukać pobiegła. Stary, przygłuchy rezydent, wysłuchawszy dziewczynę, pocałował ją w czoło i z pewnym spokojem, właściwym zgrzybiałemu wiekow, mówił: — Nie lękaj się dziecko, nie lękaj. Zawsze na świecie burze bywają a po nich nastaje pogoda. Chłopcu nic nie będzie, życia nie odbiera sobie człowiek ani łatwo ani chętnie, zwłaszcza młody, do którego świat z uśmiechem zęby szczerzy.

— Ale cóż on pocnie, jeżeli ojciec wie- dzieć o nim nie chce?
— zawołała dziewczyna.

— Będzie chciał i będzie wiedział, nie lękaj się — zawsze ze spokojem ciągnął siary — ty nie rozumiesz, bo z ką masz rozumieć, co to jest ojciec i co w sercu ojca siedzi? Teraz się rzuca, bo inaczej być nie może; prawy to człowiek, jakich dzisiaj z latarniami szukać, więc boli go, że na tę prawość rodziny pada plama, zwłaszcza taka brzydka, ale on sobie wnet wszystko rozważy i chłopca nie porzuci w biedzie. Prawda, piękne jest nazwisko Wyrębów, ale bywały przecież i lepsze, głośniejsze w kraju i historii, a plamiły się, i to, moje dziecko, plamiły się gorzej. A jednak, powoli, z czasem świat im jakoś zapomniał i dzisiaj potomkowie uważania zażywają i szacunku. Snać była analogia między słowami Szymona a myślą p. Marka, bo ten, nie

wiedząc o naradzie, jaką w folwarcznym dziedzińcu odbywano, już ku stajni zmierzał wcale spieszonym krokiem. Spostrzegł to Szymon. — A co Janko, patrzaj — mówił — jak ojcu pilno kazać konie do kolei ładować. A przecie tylko co wrócił, należałby mu się spoczynek. Ale ona nie słuchała Szymona. Na przelaj do ojca pobiegła. Teraz biedny stary ucałował córkę, a chociaż groźnego udawał, jednak łza mu w oku świeciła.

Kiedy pan Marek, pożegnawszy się z rodziną, do kolei przed wieczorem odjechał,

Jance lżej było na sercu. Wierzyła, że on nie dopuści nieszczęścia.

Zabezpieczona z tej strony, rozważyła słowa ojca: „Bądźże mi spokojna, bom ja

spra-,wę przegrał”- Wszak to było wyraźnie, p. Marek nic nigdy na wiatr nie

rzucał. A więc słuszność miał Szymon. Po burzy należało się spodziewać pogody.

Jak-

żeby rada tą nadzieją podzielić się z matką. Przed nią jednak postanowiono

trzymać w tajemnicy katastrofę krakowską, a tu jedno z drugim miało tak ścisły

związek. Z klęski syna wylęgało się szczęście córki. Dziwny skład wypadków.

Chciała Janka przed Stasia się zwierzyć, ale, na złe czy na dobre, Zygmunt się

zjawił. Między nim a Stasia w ostatnich czasach przychodziło do porozumienia,

coraz bliższego. Młody sąsiad, dbały o stan zdrowia p.

Wyębiny, codziennie do

Klonowic przyjeżdżał, a musiał mieć i inne cele, bo po za pokojem chorej,

chętnie przesiadywał długie chwile z siostrą swej niedoszłej narzeczonej. Już

też nie było w domu tajemnicą, że się młodzi nie na żarty mają ku sobie.

Cieszyło to p. Marka, a bardziej może Janinę, której taki obrót rzeczy mógł być tylko pomocnym.

I teraz więc, gdy spostrzegła oboje spacerujących po sadzie, nie chciała prze-

rywać im słodkich zapewne zwierzeń, natomiast podążyła do różowego pokoiku, aby tam, przed świętym obrazkiem, zdać najprzód w opiekę sprawę brata, a potem, uśmiechające się błogie widoki własnej przyszłości...

Bardzo ranną porą, z pociągu, pieszo kroczył p. Marek przez planty do hotelu

Pollera. Za nim niósł kuferek kolejowy posługacz. Zdawien dawna żaden z Wyrębów

nie zajeżdżał w Krakowie do innego hotelu.

Rozespany portjer stanął w bramie przed gościem, czekając na rozkazy.

— Małą stacyjkę od podwórza, przy balkonie, drugie piętro

— mówił p. Marek

krótko.

— Ciasno będzie i wysoko jaśnie panu.

— Nie rezonować, tylko maszerować,

a jaśnie panem mnie nie nazywaj, bom ja kapcan, chudy pacholek;

Nie przeszkadzały te słowa dumnej, wyniosłej postawie szlachcica, co tonem

rozkazującym stanowczo nie dopuszczał dłuższej rozmowy.
— Zawołać mi też jakiego posłańca — mówił już w numerze
— tylko nie gawrona.

A gdy ten nadszedł, p. Marek wskazał adres i polecił
dowiedzieć się zgrabnie,
przez stróża domu, co się dzieje z Józefem. Snać jednak serce
ojcowskie miało
pewne obawy.

Przyniesiono kawę, posłaniec wrócił.

— I cóż? — zapytał p. Marek, przyczem oczy szeroko
roztworzył.

— A no źle, wielmożny panie... Szarpnęło coś ojcem na
krześle, aż fajka wypadła
mu z ręki, ale że nie lubił nigdy i przed nikim pokazywać po
sobie słabości,
więc wnet opanował nie-

pokój i na pozór obojętnie, wzrok odwracając, zapytał:

— Dla czego źle?

— A no, bo stróża nie znalazłem, jeno żona się oburknęła, że
na przeszpiegi
chodzę i z początku wcale gadać nie chciała.

— Głupis ty i ona — niecierpliwym p. Marek zawołał —
zapytuję co się stało złego?

— Złego, to się nic wielmożny panie nie stało, tylko baba
powiedziała, co ten
pan jest bardzo porządny pan, co jeszcze spokojnie spi i nie
potrzeba go szpie-
gować.

Odetchnął p. Marek, a odprawiwszy posłańca, jął się do
miasta przebierać.

Zapewniony, że Józef żyje, postanowił za karę nie widzieć go,
sprawę zaś wprost
w biurze u dyrektora zbadać i załatwić.
Jeszcze nie nadeszła właściwa godzina, kiedy już siedział
wśród woźnych,

zamiatających biurowe pokoje. Po dziewiątej zaproszono go
do gabinetu dyrektora.

Ten bardzo uprzejmie przyjął sędziwego ojca swego
podwładnego, sam zaczynając:

— Pan dobrodziej zapewne życzy sobie mieć relację o
młodym urzędniku panu

Wyřebie, jeżeli się nie mylę, Józefie.

— Tak jest panie dyrektorze. Jako ojciec, poczytuję sobie za
obowiązek...

Ale dyrektor, przyzwyczajony do rozmaitych petentów i
interesentów,

zabierających drogi czas rozwlekłem gadaniem, wpadł w
słowa:

— Nam się nic nie należy panie dobrodzieju...

— Jakto, nic?

— Bardzo naturalnie, pański syn, to człowiek zdolny, pracuje
porządnie, do biura

uczęszcza regularnie, my za to oprócz pensyi, chociaż jeszcze
skromnej,

mamy go na oku, i przy pierwszej sposobności posunąć wyżej
nie omieszkamy. P.

Marek nic nie rozumiał.

— Więc wobec tego, że syn swe obowiązki względem instytucji jak powinien spełnia, od pana dobrodzieja nic nam się nie należy, ani nawet podziękowanie — zakonkludował dyrektor. Taka mowa, której celem było skrócenie audjencji, dowodziła wyraźnie albo mistyfikacji, albo nieporozumienia w tej sprawie. Zbyt przytomnym był p. Marek, ażeby się zdradzić z tem, po co tu przyszedł. Pożegnał dyrektora, który na zakończenie dodał: — Syn pański o tej godzinie już w biurze być musi; słusznem jest, aby dzień dzisiejszy w towarzystwie ojca spędził. Proszę kazać woźnemu zaprowadzić się do niego i oświadczyć odemnie, że może czynności zaniechać.

Teraz uznał ojciec, że powinien syna zobaczyć i położenie zbadać. Cieszył się już, że Józef nie zawinił tak ciężko, że zapewne tylko pretekstu użył, aby od żyda wydobyć pieniądze. Wszystko to dowodziło wprawdzie, że młody człowiek źle się prowadził, skoro miał doczynienia z lichwiarzem, i wystarczało aż nazbyt, aby sobie zrazić ojca, zwłaszcza surowych zasad, ale od lekkomyślności do zbrodni wszakże bardzo daleko. To też z pewnością otucha pozwolił p. Wyreba prowadzić się woźnemu do pokoju, w którym urzędnik pracował. Zastał go samego. —

Co to znaczy? — rzekł głosem surowym, pokazując telegram i nie pozwalając się przywitać niespodziewanem swem przybyciem zdziwionemu i strwożonemu synowi. —

Popełniłeś jakieś łajdactwo, w którym widzę i kłamstwo zarazem.

Nie dokończył jeszcze tych słów p. Marek, kiedy już syn skruszony, jak dłu-

gi padł ojcu do nóg. a obejmując je oburącz, nic nie mówił, tylko głośno płakał.

— Wstań i wytłumacz się — rzekł stary krótko — widzę, żeś winien, ale skoro winy żałujesz, to gotów jestem wysłuchać cię. Tu nie miejsce po temu, pójdź ze mną do hotelu. Pozwolono mi zabrać cię z biura. Po takim przełamaniu pierwszych lodów, ze znacznie już lżejszem sercem, z głową zwieszoną, kroczył syn za ojcem do Pollera, gdzie miało się odbyć badanie. Tu Józef z zupełną szczerością spowiadał się z grzechów swoich i przyznać trzeba, nie wyszukiwał łagodzących okoliczności, nie składał winy na swego towarzysza, który go istotnie do złego namawiał, ale wprost wyznał, że nie miał dość siły woli, aby oprzeć się pokusie, że potem, popuściwszy raz wodze swym zmysłom, już ich wstrzymać nie umiał, pomimo, iż sam dobrze widział, dokąd go te bezdroża prowadzą.

— Dwadzieścia dwa lata kończę kochany ojcie — mówił,
konkludując swe tłumaczenie
—dzieckiem byłem dotychczas pod okiem rodziców i
przełożonych, dzieckiem
nieświadomym i na każdym kroku, zależnym; tu, dziś,
zdawało mi się, że już jest
człowiekiem samodzielnym, że wolno mi życia używać bez
żadnej kontroli osób
trzecich, a w tym moim, przyznaję kochany ojcie obłądnie,
zapomniałem o
najważniejszym, to jest o środkach, których nie mając, lub
mając zbyt szczupłe,
posunąłem się do długów. Znając ojca, wiedział Józef, że
tylko szczerem, nie
połowicznym przyznaniem się zdoła go przebłagać, to też
takiej trzymając się
taktyki, gdy doszedł do tego punktu, teraz dopiero miał
wyjaśnić, jakie
okoliczności skłoniły go do sprzeniewierzenia cudzych
pieniędzy. Widząc, że
wzrok starego złagodniał, że niecierpliwy z natury, słucha
jednak cierpliwie i
wą-

sów nawet nie szarpie, sam już z większym spokojem i otucha
przystępował do
opowiedzenia faktu, który, obok innych, istotę jego
najcięższej winy stanowił.

Ale w tem miejscu przerwał p. Marek. — Słuchaj, kiedy przeczytałem ten żydowski telegram, który opiewa, że Wyręba skradł cudze pieniądze, a sam chce sobie w łeb strzelić, powiedziałem do starszej twej siostry, boć przecie nie do chorej matki, że nam się już z tem nazwiskiem ani drożyć, ani tem mniej chlubić nie godzi. Posunąłem się dalej, bom się jej domniemywać pozwolił, że równie spodłła rodzina nawet z takim panem Rzepskim liczyć się musi. Nie przywykły ojcu przerywać, tu jednak nie mógł powstrzymać się Józef. — Czy masz co przeciwko niemu? — zawołał, ale takim tonem, jakgdyby chciał okazać gotowość bronienia go do upadłego jeśliby tego zaszła potrzeba.

— Słuchaj kiedy mówię, — odparł krótko stary — mieć do niego nic nie mam, owszem, uznaję go i za uratowanie życia twej matki, o czem może nie wiesz, wdzięczny mu jestem. Ale rzecz nie w tem. Zawsze to nie mąż dla Wyrębianki, a ty o tem wiedz i pamiętaj, bo kiedyś, tak jak dziś ja, tych spraw masz pilnować. Ale od rzeczy odbiegłem. Otóż teraz widzę, że Bogu chwała, tak z nami źle jeszcze nie jest...

— Ojczy mój, pozwól mi — wtrącił Józef.

— Wprzód skończę, potem powiesz resztę. To wszystko, co mi tu opowiedziałeś, no,

a widzę, że nie kłamiesz, bo kłamstwo jak piżmo, czuć z daleka, dowodzi jasno, że masz skłonności złe, że brakowało niewiele, abyś był skończył gorzej, to jest na prawdę tak, jak ten żyd donosi. Ale masz z tego miarę, do czego by to zaprowadziło całą naszą ro-

dzinę, cały nasz ród, który na tobie dziś leży. Krew szlachecka, to rzecz święta i święcie jej czystości strzec należy. Rzepski nie podołałby takiemu strzeżeniu. Ale o mały włos nie wyszło na to, że ja z nim, jak powiedziałem dzisiaj Jance, ze szczętem sprawy nie przegrałem. Nie potrzebujesz mi opowiadać do końca twoich historii, ciekawy ich nie jestem, bom ja się z jakimiś lafiryndami nigdy nie wdawał, to cię tylko tłumaczy, żeś młody, więc głupi i niańkę przy sobie mieć jeszcze potrzebujesz. Masz mi wszystkie długi wykazać, a ja na siebie je przyjmę. Z każdym słowem więcej spostrzegaliśmy się Józef, w jak bardzo grubym błędzie był ojciec, który w ultra - szlacheckim swym egoizmie, wprost odwrotnie, a przedwcześnie już łaski i niełaski rozdzielał. Objął więc położenie, nader dlań przykre i w poczuciu sprawiedliwości, w poczuciu igraszy szlacheckiego, bez refleksji

na przypuszczalne następstwa rzeki:

— Nie pozwoliłeś mi skończyć kochany ojcze, a więc nie wiesz, że żyd doniósł ci prawdę...

— Co, co ty mówisz? — zrywając się z siedzenia zawołał p. Marek — to być nie może, ty kłamiesz, a zresztą wszakże dyrektor...

— Jeżeli o hańbie mojej nie wiedza nic w biurze — ciągnął syn — to tylko dzięki temu właśnie Rzepskiemu, który dwa tysiące za mnie w samą porę zapłacił.

— Rzepski..... zapłacił? — krzyknął stary — Więc ty jesteś złodziejem?... a on , ten Rzepski. . . ten łyk, czy może chłop... Boże mój; ciężkie być musiały winy moje, jeżeli aż do tego przyszło — i zaklął twarz, ale po chwili — precz! precz ztąd! — wołał — toż mnie wstyd bierze, żem ci z sobą tak długo mówić pozwolił!

Od tej chwili niechaj cię nigdy oczy moje nie widzą! Precz!

Nie chciał, nie miał odwagi; Józef drażnić dłużej strasznie rozgniewanego starego ojca i nie dodawszy już ani słowa na swoją obronę, odepchnięty nawet wtedy, gdy powtórnie chciał mu paść do nóg wyszedł z pokoju.

Zamknął się p. Wyreba w numerze po odejściu syna i siadł, a
twarz w dłonie
ukrywszy, długo rozmyślał a wzdychał. Potem nieodstępna
nawet w podróży książkę
Dunina do nabożeństwa wydobył, uklęknął i modlił się
gorząco. A była snąć
rezygnacja i skrucha w tej modlitwie i win własnych uznanie,
bo powstawszy już
spokojny i z pogodnem obliczem, głośno rzekł sam do siebie:
— Oto była kara boża za pychę moją. To nie przypadek, to
ręka Opatrzności
widoczna. Za grzechy ojca upadł syn, w tym upadku tkwi kara
toż mnie dziś nie
po-

rzucać go, ale godzi się dźwignąć, a skrzywdzonych
przeprosić.

Wysłał do Józefa posłańca z poleceniem, aby syn stawił się do
ojca Ten też wnet

pospieszył, uszczęśliwiony wezwaniem.

— Jutro rano pójdiesz ze mną do kościoła panny Maryi —

mówił do stojącego przy

drzwiach młodzieńca — tak, abyś się do swych obowiązków
nie spóźnił, będziemy

się spowiadali obydwaj.

Wszakże przed świętą spowiedzią ludzie ze sobą godzić się
mają, więc też Józef w

słowach ojca słusznie przebaczenia dopatrywał i tem śmielej
do ręki jego się
kwapił. Teraz nie odtrącił go stary. W czoło pocałował i
mówił:

— No no, jutro pogodzi nas konfesjonał i sakrament,
zgrzeszyliśmy obaj. Teraz
bądź mi dobrej myśli, z Rzepskim się zobacz i powiedz, że
proszę go do siebie
jutro zrana. Może, poddaj mu to, spotkać

się z nami w kościele panny Maryi, radbym widzieć go tam,
bo to widzisz,
dzisiejsza młodzież — ale nie skończył, ugryzł się w język —
no no, nie chce
przesadzać, dziś idź do biura, a uwolnij się na jutro. Nabożni,
zebrani
nazajutrz w przepię knej krakowskiej świątyni, nie domyślali
się, co się
rozgrywa wśród trzech panów, z których jeden stary,
barczysty, szpakowaty, bił
się w piersi przed konfesjonałem, a dwaj inni, młodzi, na
swoją kolej czekali.
Gdy potem wkrótce rozległ się dzwoneczek wzywający
spowiadanych do stołu
pańskiego przed wielki ołtarz, trzej panowie zarówno z
pospółstwem kornie
pochylili głowy.
— Tam, przed Przenajświętszym Sakramentem zrównaliśmy
się — mówił p. Wyłęba do

Rzepskiego, którego Józef, gdy we trzech wyszli z kościoła pod rękę pro wadził —
a teraz pójdź do mnie kochany doktorze. Najmniejsza, że jestem już dwu-

krotnie twoim dłużnikiem, za żonę i za syna, ale mam ja inne, ważniejsze
względem ciebie obowiązki, sędzę, że przy dobrej woli z twej strony porozumimy
się łatwo.

Przechodnie zauważyli, że młody człowiek starego szlachcica z dziwnie wyraźnym
odbłyskiem wdzięczności pocałował w rękę. Łzy w oczach miał drugi.

W kilka tygodni potem, w klonowickiej parafii, w niedzielę po kazaniu dwie pary
spadły z ambony: Henryk z Janiną, Zygmunt ze Stanisławą. Po nabożeństwie, na
plebanii, p. Marek przedstawiał doktora proboszczowi; — Pan Henryk Rzepski —
przyczem szepnął księdzu na ucho: — herbu Zasługa.

KONIEC.